

W numerze: **Łódzkie teatry nad Prosną** • LUCJUSZ WŁODKOWSKI **Pleśń z kosmosu** • TERESA WOJCIECHOWSKA **Koty z metryką** • **Listy do „Wysza”** • **Książki pani Czesławy Zewsząd o wszystkim** • **Nowela kryminalna**



31. V. 1970 r.
22 (654)
Cena 1.50 zł

odgłosy

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



Laury V Festiwalu

Zakończył się V Ogólnopolski Festiwal Poezji, najpoważniejsze w naszym kraju tego typu spotkanie pisarzy wszystkich pokoleń. Jubileuszowy charakter zjazdu nie odebrał dyskusji wysokiej temperatury: dyskutowano namiętnie, szczerze i mądrze. Rzeczowość obrad jest już zresztą tradycją łódzkich festiwali. I to stanowi o ich randze.

V Festiwal był jednocześnie przeglądem dorobku współczesnej poezji polskiej, co znalazło swój wyraz w decyzjach sądów konkursowych. Jury w składzie: Zbigniew Bieńkowski, Jan Błoński, Wojciech Boczkowski, Jan Maria Gigos, Jan Koprowski, Jerzy Kwiatkowski, Jan Zygmunt Jakubowski (przewodniczący), Marian Piechal, Julian Przyboś, Julian Rogoziński nagrodziło dwa najwybitniejsze tomy poetyckie wydane w naszym kraju w okresie pomiędzy kolejnymi festiwalami. Dwie równorzędne nagrody otrzymali — Stanisław Grochowiak, autor tomu wierszy pt. „Nie było lata” oraz Zbigniew Herbert, autor tomu wierszy pt. „Napis”.

To samo jury w konkursie na nie opublikowany utwór poetycki nie przyznało pierwszej nagrody. Trzy równorzędne drugie nagrody otrzymali: Marek Olejaryk z Brzegu za utwór „Złota choroba”, Małgorzata Bieżańska z Warszawy za utwór „Otwarty wiersz” i Dorota Chrościelewska z Łodzi za wiersz pt. „Abstrakcyjny człowiek”. Cztery (równorzędne) nagrody trzecie otrzymali: Bohdan Zadura (Warszawa) za wiersz „Terra incognita”, Jerzy Jarmołowski (Łódź) za wiersz „Kantyczki nożowskie”, Zenon Dunajczyk (Pałanice) za wiersz „Wiązanie” oraz Stanisław Misakowski (Świdwin) za cykl utworów poetyckich.

W konkursie na wiersz o tematyce łódzkiej jury także nie przyznało pierwszej nagrody. Dwie równorzędne nagrody drugie otrzymali: Ignacy Gustaw Romanowski (Łódź) za wiersz pt. „Nocą” i Bronisław Król (Łódź) za wiersz pt. „Rzecz łódzka”.

W turnieju jednego wiersza, zorganizowanym na zakończenie festiwalu, jury w składzie: Aleksander Rymkiewicz (przewodniczący), Krzysztof Gąsiorowski, Roman Łoboda, Tadeusz Sliwiak i Marek Wawrzkiwicz przyznało następujące nagrody:

Nagroda pierwsza — Mirosława Kuźel (Zielona Góra) za wiersz pt. „Zdejmovanie cienia”, dwie drugie równorzędne nagrody — Krystyna Rodowska (Warszawa) za wiersz pt. „W języku ognia” oraz Jarosław Markiewicz (Warszawa) za wiersz pt. „Śpiew anioła stróża”.

Specjalną nagrodę publiczności przyznano Ziemowi towi Skibińskiemu (Łódź) za wiersz pt. „Monolog Strzeżnińskiego”.

Wreszcie specjalną nagrodę Zarządu Głównego Związku Włóknarzy za utwór poetycki o tematyce pracy otrzymał Jerzy Jarmołowski (Łódź), autor wiersza „Dyskurs o robocie”.

Część nagrodzonych utworów drukujemy w bieżącym numerze „Odgłosów” na stronie 6.

Szczegółowe sprawozdanie z obrad V Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji i imprez towarzyszących zamieścimy w najbliższym numerze naszego tygodnika.

JÓZEF MARCZAK

Co czytają młodzi włókniarze?

Wielorakie funkcje czytelnictwa — kształcące, wychowawcze i praktyczne — pobudzają zawsze do pytań: Czy ludzie czytają, co czytają, jaki jest stopień upowszechnienia czytelnictwa wśród określonej grupy zawodowej itp.

Badania, których wyniki przedstawię w tym artykule zostały ostatnio przeprowadzone przez Uniwersytet Robotniczy ZMS w Łodzi i Ośrodek Badawczy Związku Zawodowego Włóknarzy.

Zasięgiem badania ankietowego objęto młodzież zatrudnioną w czterech łódzkich zakładach bawelnianych, położonych na terenie dzielnicy Widzew. Są to zakłady następujące: ZPB im. Obrońców Pokoju, WZPB im. 1 Maja, ZPB im. H. Sawkickiej, ZPB im. Dubois. Wypełnione ankiety uzyskano od 188 osób, w tym od 118 absolwentów zasadniczych szkół zawodowych i 70 absolwentów szkół średnich. Nasze obliczenia szacunkowe wykazują, że młodzież, która udzieliła odpowiedzi, stanowi 6,2 proc. ogółu młodych włóknarek i włóknarzy ze średnim wy-

kształceniem technicznym i innym zawodowym, ogólnokształcącym i zasadniczym, zatrudnionych w wymienionych zakładach.

W naszej zbiorowości (liczącej 188 osób) większość stanowią kobiety, jest ich bowiem 100. Ta większość jest szczególnie uderzająca wśród absolwentów szkół przyzakładowych, gdzie na 118 osób są 73 kobiety. W następnych grupach wśród absolwentów szkół średnich przewaga kobiet jest nieznaczna.

W zbiorowości tej dominuje zdecydowanie, pod względem ilości, grupa absolwentów szkół przyzakładowych (dwie trzecie), ona też miała duży wpływ na obraz czytelnictwa całej naszej zbiorowości. Pamiętać także trzeba o przewadze liczebnej kobiet. Dotychczasowe obserwacje sygnalizowały niejednokrotnie mniejsze zainteresowanie techniką wśród kobiet niż wśród mężczyzn.

Struktura zbiorowości pod względem wykształcenia jest następująca: 118 osób — zasadnicze, 41 osób — technikum włókiennicze, 20 osób — średnie zawodowe (głównie ekono-

miczne), 9 osób — liceum ogólnokształcące. Przewaga młodzieży o wykształceniu w zakresie włókiennictwa jest więc ogromna (pięć szóstych). Jest rzeczą interesującą, czy fachowe przygotowanie szkolne (jak zresztą i wykonywanie zawodu włókniarza) znajduje wyraz w zainteresowaniach czytelnictwa.

Pod względem wieku najliczniej reprezentowane są roczniki młodsze (110 osób w wieku 18—22 lat), co zbliża się wyraźnie z grupą absolwentów szkół przyzakładowych.

A oto liczby ilustrujące rozmiary czytelnictwa. Spośród całej naszej zbiorowości czasopisma czyta 100 osób, tj. 58 proc. nie czyta 79 osób, tj. 42 proc. Najwięcej młodych włóknarzy czyta jedno pismo (30,9 proc. ogólnej liczby osób), dwa pisma czyta 21,3 proc., trzy pisma 4,3 proc., więcej niż trzy pisma — 1,6 proc. Od setek czytelników wśród mężczyzn wynosi 88,5 proc. i jest przeszło dwukrotnie większy niż wśród kobiet — 35,8 proc.

Analiza materiałów wskazuje także na związek czytelnictwa z pozio-

mem wykształcenia. Wśród absolwentów zasadniczych szkół zawodowych, osób czytających czasopisma jest 49,2 proc., natomiast w grupie ze średnim wykształceniem stanowią oni 73 proc. Zauważa się przy tym, że młodzież ze średnim wykształceniem interesuje się większą ilością tytułów wydawniczych.

Nie mamy skali porównawczej dla oceny rozmiaru czytelnictwa czasopism technicznych wśród naszej grupy młodzieży. Wydaje się, że kontakt młodzieży z czasopiśmiem jest już dość duży, zwłaszcza wśród mężczyzn. Jest on w każdym razie o wiele większy niż wśród absolwentów włókienniczych szkół przyzakładowych przed kilkoma laty.

Dla oceny zainteresowania się młodzieży czasopiśmiem należy zwrócić także uwagę na to, jak często znajduje się ono w jej rękach. Materiały wskazują, że odsetek młodzieży, która systematycznie czyta, wynosi

Dalszy ciąg na str. 4



DRUGIE SPOTKANIE szefów rządów obu państw niemieckich, które tym razem odbyło się na terytorium NRF — w Kassel, nie zakończyło się ustaleniem miejsca i czasu następnej rozmowy. Jak bowiem stwierdził później na konferencji prasowej i w wywiadzie telewizyjnym premier Stoph — rząd NRF nie jest jeszcze gotów do nawiązania z NRD stosunków, opartych na zasadach prawa międzynarodowego. „Na zakończenie rozmów wyraziłem nadzieję — pod kreską Willy Stoph — że rząd Brandta po prze-myśleniu dojdzie do przekonania, że propozycja NRD oferuje drogę do pokojowego współistnienia... Rząd NRD jest gotów kontynuować rozmowy szefów rządów, o ile rząd NRF w tej zasadniczej kwestii wykaże realistyczne stanowisko”.

W czasie, jaki upłynął od spotkania w Erfurcie, w Stanach Zjednoczonych nie nastąpiła żadna istotna zmiana. Wprawdzie kanclerz NRF przedstawił w swym wystąpieniu w Kassel propozycję „uregulowania stosunków”, zawarte w 20 punktach — jednak nie zmierzają one do międzynarodowego uznania NRD, a odwrotnie — do podkreślenia „specjalnych stosunków” między dwoma państwami niemieckimi. W Kassel nie padła ze strony NRF pozytywna odpowiedź na pro-pozycję NRD sprzed 5 miesięcy, a zatem nie uczyniono żadnego kroku w kierunku zlikwidowania niernormalnego i sprzecznego z interesami pokoju stanu, kiedy to jedno państwo nie uznaje w sensie prawa międzynarodowego państwa sąsiadującego.

Rozmowom w Kassel towarzyszyły prowokacyjne demonstracje odwetowców i neonazistów oraz znieważenie flagi NRD. Te wrocie przeciw NRD wystąpienia uniemożliwiły Stophowi złożenie wieńca u stóp pomnika ofiar faszyzmu. Oczywiście nie mogło to pozostać bez wpływu na przebieg rozmów.

„Co to za państwo — zapytuje w komentarzu „Neues Deutschland” — gdzie nie można uchro-nić parlamentarzysty przed takimi prowokacjami?”.

Mimo braku jakichkolwiek uzgodnień w Kassel — nie można uznać, że oficjalny kontakt między obu państwami został zerwany, a więc wylądować, że w najbliższym terminie dojdzie do ponownego spotkania. Obie strony są bowiem zgodne, że wymiana poglądów powinna być kontynuowana.

TYMCZASEM W MOSKWIE zakończyła się kolejna tura rozmów sekretarza stanu NRF — Bahra z min. Gromyko. Po raz pierwszy poja-wił się też pewien optymizm co do możliwości wymiany deklaracji o wyrzeczeniu się siły. Zachodni Niemiec minister spraw zagranicznych — Scheel wyraził się nawet, iż obecnie możliwe jest rozpoczęcie „właściwych i konkretnych rokowań”. Jego zdaniem, rozwiązano wszystkie wstępne problemy. Ogłoszony przez obie strony komunikat zapowiada kontynuowanie rozmów, lecz nie podaje ich terminu.

Niektórzy komentatorzy dopatrują się związku między postępowaniem rozmów w Moskwie, a datą kolejnego bezpośredniego kontaktu między szefami obu państw niemieckich. Są to jednak tylko domniemania, ponieważ czas następnego spotkania uzależniony jest przede wszystkim od ewolucji stanowiska Bonn.

PREMIER WILSON podjął w ub. tygodniu decyzję o dacie wyborów parlamentarnych, ustalając je na dzień 18 czerwca. Tak więc. W. Brytania weszła w okres burzliwej kampanii wyborczej.

Dlaczego Wilson tak się śpieszy i ogłasza wybory na rok przed upływem kadencji parlamentu? Chociaż przywódca labourystów zaprzecza, że postanowienie to powziął pod wpływem wyników ankiet, jednak jest faktem, iż właśnie teraz sondaże wskazują na 2-7 proc. przewagę Partii Pracy. Pomyślnie dla rządzącej partii prognozy wyborcze zarysowują się dopiero od miesiąca i — jak się przypuszcza — nie utrzymają się długo. Za czerwcowym (a nie jesiennym, jak powszechnie oczekiwano) terminem przemawiają również inne względy: prawdopodobnie wyższa przed wakacjami frekwencja, możliwość w miesiącach letnich nowej fali zamieszek w Irlandii Północnej oraz konieczność podjęcia przez W. Brytanię rozmów z EWG, których rezultatu nie można przewidzieć.

Wilson chciał także zaskoczyć opozycję i pozostawić jej możliwość jak najmniej czasu na kampanię wyborczą. Edward Heath — przywódca konserwatystów — oświadczył wprawdzie publicznie, że termin ten bardzo odpowiada jego partii — co jednak mógł powiedzieć innego: przyznać się do zaskoczenia?

Tak więc w W. Brytanii rozpoczyna się kampania wyborcza, krótka, ale na pewno gwałtowna. Przebiegać ona będzie przede wszystkim pod znakiem sytuacji wewnętrznej, którą z jednej strony znamionuje pewne ożywienie gospodarcze, z drugiej jednak: bezrobocie, przekraczające 600 tys. osób. wyższa cen oraz zwiększenie się do 2 mln liczb bezdomnych lub też mających opłakane warunki mieszkaniowe.

Z tych to powodów przewaga Labour Party nad konserwatystami, która w marcu 1966 roku wynosiła 111 głosów — stopniała w toku wyborów uzupełniających do 64. Czy w czerwcu uda się powetować straty? U progu kampanii wyborczej komentatorzy nie przewidują tego. Sądzą raczej, że przewaga Partii Pracy nad konserwatystami nie będzie większa niż 60-70 mandatów.

W. ŚLAWSKI

Zawsząd o wszystkim

Zawsząd o wszystkim

Dlaczego długie spódnice?

„NEWSWEEK” — NOWY JORK

Jesteśmy świadkami diametralnie zróżnicowanych poglądów. Jedni uważają, że spódnice średniej długości („midi”) „do czaru kobiecości dodają jeszcze zagadkowość”. Inni mówią: „to po prostu skandal, że twórcy mody wypuszczają z rąk takie okropieństwa”. Jeszcze inni utrzymują, że u podstaw tej całej „rewolucji” w modzie tkwi fakt, iż zarówno jej projektanci jak i przemysł konfekcyjny pragną wykorzystać jeden z tych okresowo powtarzających się „przewrotów” w dziedzinie mody, aby podreperować własne interesy finansowe.

W naszych czasach radykalne zmiany w modzie następują co 5-6 lat. Jednakże od czasu zakończenia II wojny światowej stały się one dla tej gałęzi przemysłu wprost niezbędne.

Wydłużenie spódnicy stymuluje zbyt produkcji 7 Avenue (to właśnie na tej nowojorskiej ulicy znajduje się większość domów mody i za-

kładów konfekcyjnych). Jak już mogły się przekonać miliony kobiet, nawet najzręczniejsza krawcowa nie potrafi z „mini” zrobić „midi”. Ale rzecz polega nie tylko na tym. „Midi” spódniczka wymaga szeregu odpowiednich dodatków: pantofli na wyższym i grubszym obcasie, no-wej bielizny, innych pończoch, innego kapelusza. A poza tym innego uczesania i innego makijażu...

Niedawno, jedna z gazet w Chicago dokonała sondażu opinii publicznej, który wykazał niemal całkowitą klęskę „midi”. Przeciwno tej długości opowiedziały się cztery kobiety na pięć zapytanych, a wśród mężczyzn — dziesięciu na jedenastu. Przewodnicząca kobiecej organizacji pn. „Ochronmy naszą kobiecość i oszczędźmy nasze pieniądze”, Juliet Hatner, powiedziała: „Dyktatorzy mody chcą nas zmusić do wyrzucenia tego, co mamy w szafach i kupienia nowych rzeczy”...

Chiński sputnik na amerykańskiej orbicie

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE” — PARYŻ

Decydującą rolę w wystrzeleniu pierwszego chińskiego sputnika Ziemi odegrał... były pułkownik lotnictwa wojskowego USA. Jak wiadomo, pułkownik ów nazwał się Tian-Siue-sen — mieszkał w Stanach Zjednoczonych ponad dwadzieścia lat. W pewnym okresie czasu nie chciano go stać wypuścić, znał bowiem zbyt wiele tajemnic wojskowych. Ten drobny, uprzejmy pułkownik kształcił się w dwóch znanych amerykańskich wyższych uczelniach: Instytucie Technologicznym w Massachusetts i Kalifornijskim Instytucie Technologicznym.

Tian, bardzo uzdolniony inżynier, lubiący w chwilach wypoczynku posłuchać muzyki klasycznej, zaczął się interesować problemami kosmonautyki. W czasie drugiej wojny światowej, wykonując zlecenia rządu USA, prowadził badania naukowe w dziedzinie systemów rakietowych i otrzymał tytuł pułkownika amerykańskich powietrznych sił zbrojnych.

Po wojnie Tian kierował pracami jednej z grup technicznych, której powierzono analizę osiągnięć Niemców w zakresie konstrukcji pocisków sterowanych. W roku 1950, Tian uwikłał się w nieprzyjemną sprawę, kiedy to kontrwywiad USA, wykrył, iż usiłował on przemyścić do Hongkongu wiele książek i dokumentów, dotyczących konstrukcji i budowy samolotów. Agenci stwierdzili również, że książki i dokumenty były przeznaczone do dalszego przetrzutu do Szanghaju.

Początkowo władze amerykańskie chciały wyprosić Tiana z USA. Jednakże po zastanowieniu się zdecydowano, iż pozostanie on w Stanach, ponieważ za wiele tajemnic wojskowych, które mogłyby zostać wykorzystane przez potencjalnego wroga.

Później w 1955 roku zezwolono mu na wyjazd do Chin, gdzie od razu skierowano go do prac wojskowych w zakresie uzbrojenia.

W maju ub. roku był pułkownik amerykański został członkiem Komitetu Centralnego KPCh.

Później w 1955 roku zezwolono mu na wyjazd do Chin, gdzie od razu skierowano go do prac wojskowych w zakresie uzbrojenia. W maju ub. roku był pułkownik amerykański został członkiem Komitetu Centralnego KPCh.

Amerykańscy oficerowie odpowiedzialni za „wypoczynek i regenerację” sił psychofizycznych” żołnierzy amerykańskich, przybywających z Wietnamu południowego na urlop do Hongkongu zostali oskarżeni o poważne nadużycia. Wykorzystując stanowiska służbowe zmuszali oni właścicieli miejscowych lokali rozrywkowych do haraczu w wysokości 200 dolarów tygodniowo. Jeśli jakkolwiek kabaret odmówił owego haraczu, trafiał niezwłocznie na listę „lokali zakazanych”, do których nie wolno uczęszczać żołnierzom amerykańskim. Gdy właściciel pewnego nocnego klubu któregoś tygodnia nie zapłacił tego swoistego „podatku”, jego lokal został wymieniony w instrukcji dla żołnierzy urlopowanych jako „niebezpieczna spelunka”. Jak twierdzą świadkowie, w rzeczywistości klub ten nie jest

niczych, której powierzono analizę osiągnięć Niemców w zakresie konstrukcji pocisków sterowanych.

W roku 1950, Tian uwikłał się w nieprzyjemną sprawę, kiedy to kontrwywiad USA, wykrył, iż usiłował on przemyścić do Hongkongu wiele książek i dokumentów, dotyczących konstrukcji i budowy samolotów. Agenci stwierdzili również, że książki i dokumenty były przeznaczone do dalszego przetrzutu do Szanghaju.

Początkowo władze amerykańskie chciały wyprosić Tiana z USA. Jednakże po zastanowieniu się zdecydowano, iż pozostanie on w Stanach, ponieważ za wiele tajemnic wojskowych, które mogłyby zostać wykorzystane przez potencjalnego wroga.

Później w 1955 roku zezwolono mu na wyjazd do Chin, gdzie od razu skierowano go do prac wojskowych w zakresie uzbrojenia.

W maju ub. roku był pułkownik amerykański został członkiem Komitetu Centralnego KPCh.

Amerykańscy oficerowie odpowiedzialni za „wypoczynek i regenerację” sił psychofizycznych” żołnierzy amerykańskich, przybywających z Wietnamu południowego na urlop do Hongkongu zostali oskarżeni o poważne nadużycia. Wykorzystując stanowiska służbowe zmuszali oni właścicieli miejscowych lokali rozrywkowych do haraczu w wysokości 200 dolarów tygodniowo. Jeśli jakkolwiek kabaret odmówił owego haraczu, trafiał niezwłocznie na listę „lokali zakazanych”, do których nie wolno uczęszczać żołnierzom amerykańskim. Gdy właściciel pewnego nocnego klubu któregoś tygodnia nie zapłacił tego swoistego „podatku”, jego lokal został wymieniony w instrukcji dla żołnierzy urlopowanych jako „niebezpieczna spelunka”. Jak twierdzą świadkowie, w rzeczywistości klub ten nie jest

ani gorszy ani lepszy od podobnych lokali położonych w sąsiedztwie.

Pokrzywdzony właściciel złożył skargę w ambasadzie amerykańskiej w Hongkongu, która jednak pozostała bez echa. Wobec tego zaskarżył wojskowe „Biuro ds. organizacji wypoczynku i rekreacji” do sądu. Wśród dowodów rzeczowych znajduje się m.in. zdjęcie fotograficzne, na którym figuruje oficer amerykański w momencie otrzymywania „haraczu” od jednego z właścicieli kabaretów.

Jeden z australijskich prawników określił działalność biura „jako nowoczesny racket prowadzony z chicagowskim rozmachem”. Zdemaskowanie tej afery w Hongkongu uzupełnia długą listę wykazujących się skandalicznymi aferami, świadczącymi o korupcji wśród amerykańskich wojskowych.

Na porządku dnia

„POURQUOI PAS?” — BRUKSELA

Problemy bezpieczeństwa europejskiego zajmują czolowe miejsce w polityce międzynarodowej.

Wszelkie usiłowania, aby odroczyć próbę rozwiązania tego zagadnienia, są skazane na niepowodzenie. Kraje europejskie zaczęły zdawać sobie sprawę, że Europa — zbyt długo znajdująca się pod różnorodną kuratelą — powinna się wreszcie emancypować, a „Stary Świat” (w rzeczy samej nie starszy niż inne) powinien się uwolnić od swoich kompleksów. Europa powinna zrozumieć, że nikt nie będzie jej dawał wiecznie jałmużny, i że nad szedł czas, aby swoje losy ujęła w swoje własne ręce.

Kanclerz boński, Willy Brandt, powiedział niedawno, że należy uznać fakt istnienia dwóch państw niemieckich w ramach jednego narodu niemieckiego. Czy uznanie istnienia dwóch niezależnych państw niemieckich, które nie tylko mogą prowadzić na równych prawach rozmowy o swoich stosunkach z innymi krajami, ale i podpisać, na przykład, porozumienie o niesto-sowaniu siły — nie oznacza

również zgodzenia się na status quo? Czy w pośredni sposób nie oznacza to również uznania granicy państwa niemieckiego — NRD, a także granicy na Odrze i Nysie i wreszcie, rzecz jasna, granicy dzielącej oba państwa niemieckie?

Walter Ulbricht odpowiedział — i miał rację — że należy zrobić następny krok, a mianowicie wyrzec się obelżywej dyskryminacji i uznać NRD zgodnie z prawem międzynarodowym. Willy Brandt niczego nie może chyba przeciwstawić logice tego żądania Niemiec wschodnich.

Moskwa, ze swej strony, uważa, że droga została już otwarta i że zwolanie ogólnoeuropejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy jest realnym zadaniem niedalekiej przyszłości. Bardzo dobrze, że Moskwa życzy sobie zwolania takiej konferencji.

I jak by to nie było bolesne dla NATO i jego wysokich funkcjonariuszy wojskowych, w Europie nie chcą już więcej uważać za „niebezpieczną pułapkę”.

Legalna fabryka falsyfikatów

„DAILY TELEGRAPH” — LONDYN

W północnej części Londynu, w gmachu byłego sklepu mebli mieści się ogromna pracownia artystyczna, gdzie wykonuje się kopie najcenniejszych dzieł sztuki rzeźbiarskiej, przechowywanych w Anglii.

W odróżnieniu od fabryki falsyfikatów, jest to instytucja całkowicie „legalna”. Należy do Muzeum Brytyjskiego i wykonuje zamówienia muzeów zagranicznych oraz osób prywatnych z całego świata. Specjaliści zatrudnieni w tej osobliwej pracowni doskonale wiedzą, iż niektóre wykonane przez nich kopie drogocennych dzieł sztuki mogą być skradzione i wypuszczone na czarny rynek jako oryginały. Dlatego też przestrzega się tam najdalej idących środków ostrożności.

Każdy miłośnik sztuki, który tylko znalazł się tutaj, staje oczarowany mnóstwem kopii najznakomitszych rzeźb antycznych, przechowywanych w Muzeum Brytyjskim. W jednej z sal o powierzchni co naj-

mniej dwukrotnie większej od boiska piłkarskiego, zebrano wszystkie fryzy z ateńskiego Panteonu.

Jest to paradoksalne, ale niektóre kopie zachodniego fryzu Panteonu, wykonane na przełomie XX wieku, są o wiele większe i wyobrażenie o ogromie tej świątyni, niż fryz autentyczny.

Pracownia zatrudnia siedmiu rzeźbiarzy o najwyższych kwalifikacjach artystycznych. Są oni etatowymi pracownikami Muzeum Brytyjskiego. Wykonywane przez nich kopie idą na cały świat.

W innej ogromnej sali, żywo przypominającej Florencję, rzeźbiarze wykonują kopie starogreckich fryzów. Wykonali oni dokładnie kopie tych fryzów w Muzeum, a obecnie nanoszą na nie najdrobniejsze detale artystyczne.

Natychmiast po zakończeniu tych prac, każdy fryz zostanie zapakowany do specjalnej skrzyni i wysłany do Bazylii do tamtejszego Muzeum Starożytności.

„Uderzenia obronne...”

„NEW YORK POST” — NOWY JORK

Dopełnieniem operacji wojsk USA w Kambodży pn. „Totalne zwycięstwo” jest zwolnienie amerykańskich bombardowań Północnego Wietnamu. Naloty te nazywa się oficjalnie „odwetowym uderzeniem o charakterze obronnym”. Krótko mówiąc, kiedy Wietnamczycy strzelają do samolotów wykonujących nad ich własnym terytorium loty zwiadowcze, obrzuca się ich bombami. Kto wie, jakiej się jeszcze innej karkołomnej terminologii użyje, żeby tylko zamaskować hazardową grę prezydenta Nixona w imię militarnego rozstrzygnięcia problemu.

Kiedy wiceprezydent Agnew spytał, dlaczego w Kambodży działają głównie amerykańskie, a nie polonowietnamskie oddziały wojskowe, prezydent odparł zupełnie poważnie, iż chodzi tu o to, aby „zmniejszyć nasze straty”. I zaraz potem dodał, że powinniśmy się

przyznać, iż w Azji nie możemy wygrać „wojny lądowej”.

Żyjemy w koszmarnym czasie, kiedy to każda minuta i każdy dzień przynoszą, być może, najcięższe straty. Tenże Agnew uwiarylił telewizji, jakoby Północnemu Wietnamowi „kompletnie wykrwawionemu” zadano ciężkie ciosy”. Dziś stwierdzenie to nie jest ani trochę bardziej prawdopodobne, niż było jeden, dwa i trzy lata temu, kiedy to samo mówił ten sam człowiek, który zabiegał o wysłanie dalszych kontyngentów wojsk.

Jest całkiem jasne, iż „plan pokojowy” Nixona okazał się starym projektem Pentagonu i jego marionetek w Sajgonie. Nazywanie tak ryzykownych decyzji „minimalną” lub „ograniczoną operacją” jest okrutnym nagrawaniem się z rzeczywistości.

Łódzkie teatry nad Prosną



Sala kominkowa w Teatrze im. Jaracza.
Fot. J. Neugebauer

Co dzienna prasa podała już wyniki X Kaliskich Spotkań Teatralnych. Wiemy, że główną nagrodę zdobył zespół Teatru im. S. Jaracza z Łodzi za „Irydion” Zygmunta Krasieńskiego. Od kilku już lat w jury KST zasiada doc. dr hab. St. Kaszyński. Zwróciliśmy się do niego z prośbą o podzielenie się uwagami i wrażeniami z tegorocznych Spotkań Kaliskich.

— W tym roku Kaliskie Spotkania Teatralne święciły jubileusz; po raz dziesiąty teatry Polski centralnej prezentowały publiczności kaliskiej swój artystyczny dorobek. Jest więc okazja, aby przedstawić znaczenie kaliskiego festiwalu.

— Co by się nie powiedziało o festiwalu kaliskim, a o festiwalach mówi się rozmaicie, częściej gorzej niż lepiej, ja, na podstawie obserwacji i uczestnictwa, uważam, że jest to impreza pod każdym względem warta utrzymania. W czym widzę jej sens? Pomijam tutaj niebagatelny akcent zainteresowania teatrem mieszkańców Kalisza i okolic. Ale przecież, poza Warszawskimi Spotkaniami Teatralnymi, gdzie teatry z prowincji przywożą najlepsze spektakle, właśnie w Kaliszu, w ostatnich latach, obserwujemy niezwykle znamienne zjawisko dla teatru nie tylko polskiego, ale i europejskiego — teatr inscenizatora. To zjawisko odnosi się do ostatnich kilku, a konkretnie trzech lat, i wszystko zdaje się świadczyć o tym, że ten trend rozwinie się i zachowa swoją rangę.

O teatrze inscenizatora, tak jak o festiwalu, można mówić i dobrze i źle. Nie mniej, jak wiadomo, należy liczyć się z faktami, i to fakty mają rację, a nie nasze pobożne życzenia. Ow ten teatr inscenizatora jest tworem młodej, wstępującej generacji twórców. Nie trzeba dodawać, że utalentowanej, skoro o nich mówimy. Wymienie tu Jerzego Grzegorzewskiego z Łodzi, Macieja Prusa ze Słupska, a od sezonu 1970 stałego reżysera Państwowego Teatru im. W. Bogusławskiego w Kaliszu, Romana Kordzińskiego z Poznania i Helmuta Kajzera.

— Co wyróżnia ich twórczość spośród prezentacji innych reżyserów?

— Propozycje tej generacji sprowadza-

ją się do wysuwania na plan pierwszy wartości bardzo indywidualnych, śmiałych, będących ich jakby osobistą wizją współczesnego człowieka i współczesnego świata.

Ktoś mógłby powiedzieć, że poczynając tak bardzo indywidualnie gwałcą oni tradycję, przyzwyczajenia, smak estetyczny, burzą to, co winno być respektowane. Być może, że tak nawet jest, że idąc tak daleko w swoim buncie wobec tradycyjnego teatru, mogą spotkać się nie tylko z zastrzeżeniami mniej wyrobionej widowni, ale może im grozić to, że społeczeństwo przestanie ich rozumieć, ponieważ ten język, którym się posługują, uwzględniając wszystkie różnice, jest tak trudny, jak język nowoczesnej poezji.

— Czy to znaczy, że z sukcesów Grzegorzewskiego, bo przypomnijmy, że i w ubiegłorocznych KST zdobył nagrodę za inscenizację „Wesela”, można wnioskować o porażce teatru tradycyjnego?

— Budzi pewien niepokój ta hegemonia indywidualności, kiedy w konfrontacji z ich zmaterializowaną wyobraźnią mniej zaczynają fascynować rzeczy solidne, znakomicie przygotowane, świetne reżysersko i aktorsko. Tu dam przykład swoistej przegranej reżysera „Zycie jest snem” — Witolda Zatorskiego i jego scenografa.

Osobiście sądzę, że ta przegrana w rezultacie może okazać się zwycięska, ponieważ granice specyficznej zuchwałości inscenizatorów są określone i nie wszystko, co szokuje, zachowuje na dłuższą metę swoją rację istnienia.

— Mówiąc o przegranej reżysera Zatorskiego wspominał Pan także o przegranej jego scenografa.

— Tak. W Kaliszu uwidoczniły się również nowe sposoby plastycznej kompozycji przestrzeni. Nie jest to już ani malarstwo ani architektura w dotychczasowym rozumieniu, lecz eksponowanie takich rekwizytów, które ściśle przylegając do przedstawionej rzeczywistości nie tylko ją dynamizują, ale metaforyzują. Taki rekwizyt, jak słoma w „Karolu Macieju Wścieklicy” Stanisława I. Witkiewicza czy skrzynki w „Panu Puntilli i jego służce” Bertolda Brechta, stają się sugestywnym przekątnikiem atmosfery i realiów świata tekstu, nie będąc przy tym ani symbolem ani alegorią. I znowu z taką formułą przestrzeni „przegrywa” piękna i funkcjonalna scenografia np. Poulaina.

— Na KST nagradzano również grę

aktorską, a wśród wyróżnionych znaleźli się dwaj łódzcy aktorzy — Andrzej May i Bogumił Antczak. Czy to znaczy, że aktorzy łódzcy wyróżniali się poziomem gry spośród innych zespołów?

— Muszę powiedzieć z całą przyjemnością, że moi koledzy z jury X KST, stosunkowo rzadko oglądający łódzkie spektakle, byli pełni uznania dla dobrego rzemiosła naszych aktorów. Co więcej, a powiem to już w imieniu całego jury, spektakle łódzkie na planie roboty aktorskiej odbijały wyraźnie, z małymi wyjątkami, od reszty zespołów. W Kaliszu potwierdziło się to, co wiemy z codziennych obserwacji; mamy rzeczywiście świetnych aktorów.

— Ostatnio mówi się o kryzysie życia teatralnego w Łodzi. Czy Pan, jako uczestnik kilku już Kaliskich Spotkań Teatralnych, mógłby porównać poziom poprzednich i tegorocznych występów łódzkich teatrów?

— Nie oglądałem w Kaliszu inscenizacji Kazimierza Dejmki, ale śmiem twierdzić, że tegoroczne prezentacje — „Irydion” i „Życie jest snem” były świetną wizytówką potencji teatru łódzkiego. Nie tylko z przekory muszę natomiast powiedzieć: nie znaczy to jeszcze, że te dwie pozycje oddalają czy przytłumiają gorzkie pretensje do naszych scen dramatycznych. Jeśliby sukces osiągnięty w Kaliszu zawrócił komuś przypadkiem w głowie, byłby to wniosek tyleż pochopny co fałszywy. Tak dobrze jeszcze na łódzkich scenach się nie dzieje.

Gdyby w tym roku wystąpiły trzy łódzkie teatry dramatyczne w Kaliszu, obawiam się, iż rekapitulacja w tonacji optymistycznej byłaby wręcz kłopotliwa.

— Wśród nagrodzonych spektakli znalazł się tylko jeden polski dramat współczesny — „Akt przerywany” T. Różewicza. Czy to znaczy, że w Kaliszu nie było innych sztuk o tematyce współczesnej?

— Kaliskie Spotkania potwierdziły słabość polskiej dramaturgii, mimo że ramy festiwalu przywołują ją do Kalisza. Przykładem słabości „Bar wszystkich świętych” Jerzego Broszkiewicza, przedstawiony przez teatr poznański. Aż żal, że tyle inwencji, pracy i środków, tyle talentu

Romana Kordzińskiego zostało zużytych na eksploatację sztuki, o której można mówić z wielkim zażenowaniem. Natomiast godną refleksji pozycją był „Akt przerywany” Tadeusza Różewicza przedstawiony przez Teatr im. J. Osterwy z Lublina i nagrodzony za inscenizację i reżyserię.

— Festiwal kaliski to także okazja do spotkań i wymiany poglądów krytyków, teatrologów, polonistów. Jaki w tym roku był w tych dyskusjach udział łódzian?

— Jak wiadomo, obok przeglądu sztuk, odbywają się w Kaliszu liczne tzw. imprezy towarzyszące. W tym roku organizację Sympozjum Teatrolologicznego powierzone Katedrze Teorii Literatury UŁ. Mnie przypadł zaszczyt organizacji tego sympozjum i zaproponowałem temat, jak się okazało bardzo fortunny, poświęcony twórczości Jerzego Szaniawskiego. W ten sposób był to pierwszy w Polsce, jakby zbiorowy komentarz do twórczości znakomitego pisarza. Poza Wojciechem Natansonem cztery referaty opracowała ekipa łódzka — dr E. Udalska, dr P. Wert, mgr M. Marcjan i mgr S. Świątek. Sympozjum Teatrolologiczne spotkało się z bardzo życzliwym przyjęciem i wzbudziło rzeczywiste zainteresowanie. Jego wyniki będą publikowane w Zeszytach Naukowych UŁ.

— Czy można prosić na koniec o kilka osobistych uwag na temat tegorocznych Spotkań Kaliskich?

— Uroki festiwalu kaliskiego podkreśla samo miasto, scena jednego z najpiękniej położonych teatrów w Polsce — Teatru im. W. Bogusławskiego, doping i reakcja kaliskiej publiczności. Godne podziwu jest to, że Kalisz przygotował i wydał na czas trwania KST informator, plakat, afisz spotkań, ulotki repertuarowe, zaproszenie-zyczenie, zaproszenie na Sympozjum Teatrolologiczne i dyplomy ad hoc. W porównaniu z kaliską edycją programu festiwalowego nasze łódzkie programy teatralne wypadają żenująco skromnie.

Na tegoroczne spotkania przyjechało wielu dziennikarzy, krytyków, dyrektorów i kierowników literackich teatrów z całej Polski. Niestety, z Łodzi przyjechał tylko jeden (słownie jeden!) dziennikarz. O czymś to świadczy.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ



Teatr im. Jaracza — widownia.

Fot. J. Neugebauer

Listy do Redakcji

SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE!

Ze smutkiem dowiedziałem się, że Zespół Mandolinistów (pod dyr. niedawno zmarłego Ciukrzy) ma być rozwiązany. Nie mo-

gę zrozumieć z jakich powodów zapadła ta decyzja. Zespół ten gra od dobrych kilku czy kilkunastu lat. Ma on powodzenie wśród słuchaczy Polskiego Radia. Nie jest to tylko moja opinia, lecz też innych melomanów. Słuchając tego zespołu często się zastanawiam, dlaczego tak rzadko Polskie Radio nadaje melodie grane przez ten znakomity zespół. Trzeba równomiernie rozkładać audycje muzyczne, dzieląc proporcjonalnie muzykę rozrywkową big-bit i trochę poważniejszą ale bardzo miłą dla ucha i dla du-

szy. Chciałbym dostać odpowiedź, mimo, że tego od Pana Redaktora się nie spodziewam, czym zalece niem i dlaczego ten zespół ma być rozwiązany. Należałoby raczej zlikwidować szereg zespołów o niskim poziomie artystycznym, które się lansują (podobno modna, krzykliwa i poplatna muzyka) w Polskim Radio mimo, że te zespoły nie mają przyszłości. Jeżeli zespół ten tyle lat grał, to chyba ma prawo jeszcze grać. Jeżeli do tychezas nie było żadnych pretensji, co do poziomu artystycznego i innych do-

niego pretensji, to dlaczego, gdy brakło jego kierownika trzeba zastosować w stosunku do niego tzw. carskie cięcie.

To chyba jakaś pomyłka. Trzeba zrewidować to sta nowisko i bardzo głęboko i wnikliwie się zastanowić, by nie zrobić krzywdy zespołowi i słuchaczom, którzy bardzo lubią i z zainteresowaniem, a można powiedzieć — z umiłowaniem słuchają tej naprawdę poważno-rozrywkowej muzyki.

Z poważaniem
MGR LEON KNYP

SZANOWNA REDAKCJO!

Dowiedziałem się, że orkiestra mandolinistów przy Polskim Radu ma być rozwiązana. Wiadomość tę przyjąłem ze smutkiem i niedowierzaniem. Jestem człowiekiem starym, na rencie i przedpołudniowe niedzielne audycje orkiestry mandolinistów są dla mnie relaksem, czymś w rodzaju oderwania się od codzienności.

Myślę, że decyzję rozwiązania tej orkiestry podjął człowiek, który lubi tylko muzykę bigbitową i nie zastanawiał się nad tym, że w

ten sposób skrzywdził gros ludzi, którzy są wielo bicielami muzyki, przy której można wypocząć z przyjemnością.

JANINA WOLSZCZAK

SZANOWNA REDAKCJO!

Jestem pracownikiem fizycznym, nie znam się na muzyce poważnej, ale orkiestrę mandolinową bardzo lubię, tak samo moja żona i dzieci. Jestem przeciwny likwidacji orkiestry mandolinowej Ciukrzy.

JOZEF MISZCZAK



Fot. A. W. Pietrzyk

Co czytają młodzi włókniarze?

Dalszy ciąg ze str. 1

26 proc., ogromna większość natomiast utrzymuje dorywcza więź z czasopiśmie. I tu spotykamy różnice, zależnie od płci i wykształcenia. U mężczyzn czytelnictwo systematycznie występuje w większym stopniu niż u kobiet, średnio 31,4 proc. i 17,9 proc. Wśród młodzieży o średnim wykształceniu stałych czy-

telników jest 29,4 proc., w tym wśród mężczyzn 29 proc., wśród kobiet 30 proc.

Liczyby przytoczone wyżej wskazują, że wśród badanej grupy jedynie niewielki odsetek ma nawyk stałego śledzenia czasopiśm.

Z wypowiedzi młodzieży wynika, że interesuje się ona znaczną ilością różnych czasopiśm technicznych, bądź zawodowych, wymienia bowiem 20 tytułów. Największym zainteresowaniem cieszą się następujące pozycje: *Młody Technik* (33), *Technik Włókienniczy* (28), *Horyzonty Techniki* (26), *Przegląd Włókienniczy* (15), *Przegląd Techniczny* (11), *Przyjaciel przy pracy* (9), *Mechanik* (8), *Radioamator i Skrzydła Polska* po 6. Inne tytuły mają już zaledwie po dwu lub po jednym czytelniku.

Zainteresowania czytelnicze naszej młodzieży mogą być rozpatrywane również ze względu na ich związek z zawodem. Różnorodne czasopiśma mają zapewne znaczenie dla wzbogacenia wiedzy technicznej czytelników, rozwijania ich uzdolnień i sprawności zawodowych. Wydaje się jednak rzeczą słuszną, że czasopiśma poświęcone włókiennictwu mają pierwszorzędne znaczenie dla rozwijania kultury pracy w zawodzie włókniarza. Jak już podano zainteresowanie takimi czasopiśmami jak *Technik Włókienniczy* i *Przegląd Włókienniczy* występuje dość licznie, przejawia się przy tym i u mężczyzn i u kobiet.

Zainteresowanie naszej młodzieży sprawami związanymi się bliżej z zawodem włókniarza zaznacza się tak że w tematyce czytanych artykułów. Spośród 104 wypowiedzi określających kierunki różnorodnych zainteresowań — na „włókiennictwo”,

„maszyny włókiennicze”, „przedalnicztwo bawełny”, „tkactwo”, „wykończeniostwo” przypada razem 29 wypowiedzi. Nieco liczniej pojawia się za zainteresowanie tzw. „nowościami technicznymi” (11). Poza tym uwaga naszych czytelników jest bardzo rozproszona na ponad 20 różnych zagadnień, takich jak: modernizacja, mechanizacja, urządzenia elektryczne, radiotechnika, motoryzacja, ekonomika, zagadnienia polityczne i szereg innych.

Pobudki składające ludzi do zajmowania się czasopiśmem, a zwłaszcza określoną tematyką mogą być wielorakie. Jedne z nich mają cechy bardziej osobiste, subiektywne, łączą się z dążeniami jednostek do samorozwoju z zamilowaniami i nawykami czytelniczymi. Inne pobudki powstają w stopniu bardziej wyraźnym na tle zauważanych wymagań pracy zawodowej. Czytelnictwo literatury fachowej jest wtedy drogą do głębszego i wszechstronniejszego poznawania spraw zawodowych, lepsze go wykonywania funkcji zawodowych, awansu itp. Aktywność czytelnicza oparta na różnych motywach jest pożyteczna zarówno z punktu widzenia jednostki, jak i ze względu na cele społeczno-zawodowe.

Motywy czytania czasopiśm podane przez naszą młodzież są i jednego i drugiego rodzaju. Dominują jednak zdecydowanie raczej ogólne dążenia intelektualne do rozszerzenia zasobu wiedzy, do osobistego rozwoju kulturalnego. Znajduje to wyraz w 60 wypowiedziach (spośród 110) absolwentów szkół zasadniczych, technikum włókienniczego i innych szkół średnich. Jako uwarunkowanie czytelniczo podkreśla się także dość liczne potrzeby pracy zawodowej; jest ich razem 32. W pojedynczych przy-

padkach występują takie motywy, jak: „potrzeba bezpiecznej pracy”, „możliwość awansu”, „racjonalizacja i wynalazczość”, „nauka w Politechnice Łódzkiej”, „nauka w technikum” i inne.

Badana grupa młodzieży wypowiedziała się także w sprawie tak ważnej, jak związek czasopiśm, a zwłaszcza czytanych przez nią artykułów, z pracą zawodową. Są to jednak wypowiedzi niekonkretnie, to znaczy bez bliższego określenia, z którymi składnikami pracy zawodowej czy sprawami wiąże się czasopiśma. Większość uczestników ankiety ocenia jednak — być może raczej w sposób nieokreślony, intuicyjny — że artykuły czasopiśm nawiązują do pracy zawodowej i oświetlają jej problematykę. Wypowiedzi tego rodzaju jest 85 na ogólną liczbę 102. Dość ogólnikowym odpowiedziom absolwentów szkół zasadniczych i średnich, na pytania dotyczące związków publikacji ze złożonymi i konkretnymi faktami, występującymi w poszczególnych zakładach pracy, nie można się dziwić. Bardziej sprzyjającą formą, służącą określeniu tych związków byłby — jak się wydaje — wywiad z absolwentami, dotyczący wybranych tematów.

Zainteresowanie młodzieży treścią czasopiśm znajduje wyraz nie tylko w ogólnej ocenie ich związku z życiem, ale również w uwagach i postulatach zmierzających do lepszego dostosowywania artykułów do potrzeb czytelników. W sprawie zabralo głos 32 mężczyźni i 7 kobiet. Młodzież w swych propozycjach zwraca przede wszystkim uwagę na lepszy dobór treści, wzbogacenie jej zakresu, ściślejsze dostosowanie do praktyki. A oto uwagi młodzieży: „naależy zwrócić znacznie większą uwagę na sprawy pracy zawodowej”, „Pisać więcej o wprowadzanych zmianach i nowościach w przemyśle włókienniczym”, „Przedstawiać wszechstronnie zagadnienia konstrukcji i funkcjonowania maszyn włókienniczych”, „Poświęcać więcej miejsca zagadnieniom i osiągnięciom racjonalizatorskim”, „Należy informować szerzej o polskich nowościach technicznych”.

Kilka propozycji dotyczy spraw formalnych. Spotykamy tu uwagę ogólną, że „czasopiśmo powinno być dostosowane do przygotowania szerszego kręgu czytelników”. Wysuwają się życzenia, aby „artykuły były ciekawie napisane”, wreszcie — wskazuje się na potrzebę wzbogacenia materiału ilustracyjnego w czasopiśmach.

Badania zwracają uwagę na szersze niż dotąd możliwości upowszechnienia czasopiśm technicznych wśród młodych włóknarzy. Czołową rolę w prowadzeniu tego rodzaju działalności spełniać powinny zakładowe koła stowarzyszeń technicznych przy współpracy ze związkowymi placówkami kulturalno-oświatowymi. To jednak nie wszystko. Ważnym zagadnieniem jest również rozwój współdziałania z ośrodkami myśli technicznej, pracownikami nauki i publicystami — w celu uwzględniania w piśmiennictwie i różnych formach upowszechniania wiedzy swoistych potrzeb zawodu włókniarza oraz poszczególnych grup młodzieży pracującej.

JÓZEF MARCZAK

POLONICA

W SALI WYSTAWOWEJ Södertälje pod Sztokholmem otwarto wystawę tkanin Magdaleny Abakanowicz. Prasa szwedzka szeroko i pozytywnie recenzuje tę ekspozycję, podkreślając, że artystka opiera się w swej twórczości na polskiej tradycji i motywach ludowych. Unikalne tkaniny przestrzenne M. Abakanowicz wywołały w środowiskach artystycznych Szwecji podobne wrażenia, jak wystawiane przed dwu laty w Sztokholmie „assemblage” Hasióra.

(ah)

PO SUKCESIE na festiwalu w Braszowie Ewa Demarczyk wystąpiła w Théâtre de l'Atelier w Genewie. Dzienniki szwajcarskie nie szczędząc słów zachwytu, podnoszą olbrzymią muzykalność polskiej pieśniarki, wspaniały głos i zdolności aktorskie.

(ah)

W ZWIĄZKU z prapremierą nowego oratorium K. Pandereckiego „Jurznia”, która odbyła się z inicjatywy zachodniemieckiego radia w Altemberg z udziałem polskich solistów i polskiego dyrygenta, „Frankfurter Allgemeine Zeitung” prezentuje dotychczasowy dorobek polskiego kompozytora, dodając, iż jest on najwybitniejszym twórcą awangardowym na arenie międzynarodowej. Prasa fachowa podkreśla znakomity poziom partii solowych tej kompozycji sakralnej, wykonanych przez Stefanię Woytowicz, Krystynę Szczepańską i Bernarda Ladyżę.

(ah)

DUŃSKI DZIENNIK „Po litiken” zamieszcza obszerną i pochlebną recenzję wydaną obecnie w języku duńskim „Nocy i dni” Marii Dąbrowskiej. Książka opublikowana przez wydawnictwo Nyt Nordisk Forlag zawiera interesujący wstęp duńskiego slawisty, prof. Carla Stiefa. Recenzent przedstawiając treść książki, charakteryzuje specyficzne cechy „dużych” Polaków i podnosi wybitne wartości humanistyczne powieści Dąbrowskiej.

(ah)

POLONICA

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Pieśń z kosmosu

Światowa prasa poinformowała swoich czytelników, że 24 kwietnia br. Chiny Ludowe wystrzeliły w kosmos pierwsze go sztuczny satelitę, który nadaje rewolucyjną pieśń chińska: „Tung Fang Hung” — Wschód jest czerwony. Komentatorzy stwierdzili, że dla specjalistów obserwujących postępy w realizacji chińskiego programu rakietowego i nuklearnego, fakt ten nie stanowił zaskoczenia. Na tomiastr czytelnicy byli ra-

czej zdumieni, zaskoczeni i zdziwieni. Przywykli, że wystrzeliwane w kosmos sputniki emitują zazwyczaj zaszyfrowane wyniki badań naukowych, a nie rewolucyjne pieśni.

Napływające z Chin skąpe informacje budzą zaniepokojenie i pewien niepokój. Europejczycy interesujący się rozwojem sytuacji międzyrodowej szuka często odpowiedzi na pytania dotyczące zarówno przyczyn, jak i znaczenia dokonujących się

w Chinach procesów. Nie może pojąć istoty panującej tam atmosfery przygotowań wojennych, jest bowiem przekonany, że Chińskiej Republice Ludowej nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Dlatego dziwi go informacja o postępującej militarystyce życia, co wyraża się m. in. w próbnym alarmach, wojskowym szkoleniu młodzieży, budowie tuneli i schronów oraz przygotowaniu zakładów pracy do demontażu maszyn i ukrycia ich przed najazdem przeciwnika. Dziwi go też informacja o licznie wyświetlanych filmach, przypominających walkę narodu chińskiego z japońskim okupantem, wśród których szczególnie popularny jest film o znanym tytule: „Jak toczyć bój z wrogiem przy użyciu tuneli podziemnych”.

★

W październiku 1964 roku światowa opinia publiczna dowiedziała się o pierwszej próbie z bombą atomową, jakiej dokonano na terytorium chińskim. Data ta nie stanowi jednak żadnego

przełomowego momentu w wewnętrznej i zewnętrznej polityce Chin, bowiem moment zwrotny nastąpił dużo wcześniej. Zaczęło się to wszystko, jak pamiętamy, od znamiennej polemiki z KPZR, toczony na łamach prasy chińskiej i jak utrzymują znawcy tematu, było skutkiem klęski poniesionej w realizacji polityki „wielkiego skoku”. Od lata 1958 roku przywódca Chin Ludowych zrezygnował z wykonania drugiego planu pięciu letniego, który nakreślił VIII Zjazd KPCh i rozpoczęli eksperyment gospodarczy, mający wykazać, że Chiny będą budować socjalizm we dług odmiennego programu, przekreślając prawo planowego i proporcjonalnego rozwoju i formując jednocześnie „prawo rozwoju ekonomicznego skoków”.

Rozwój Chin od tej pory miał dokonywać się pod trzema sztandarami. Pierwszy — linia generalna, wyrażająca się wezwaniem do wyłączenia wszystkich sił przy budowie socjalizmu. Drugi — „wielki skok” i trzeci — komuny ludowe.

Właśnie wtedy miliony Chińczyków miało wytapiać stal i żelazo w setkach tysięcy dymarek, które budowano na podwórkach wyższych uczelni, ministerstw i instytucji. Na wsi i w mieście zaczęło tworzyć komuny ludowe. Uspołeczniono wszystkich, począwszy od piecyków, na których gotowano strawę, a skończywszy na pałacach do jedzenia. Ustalono zasady równego podziału, dzieci zabrano do internatów, a starców do „domów szczęścia”.

„Wielki skok” skończył się fiaskiem i przyniósł dezorganizację gospodarki. W marcu 1959 r. Mao Tse-tung, który był jego autorem, zerwał się funkcji państwowych i pozostawiając sobie jedynie przewodnictwo partii, odsunął się od życia politycznego, aby — jak sądzono i jak to sugerowała prasa chińska — poświęcić się pracy teoretycznej. Powrócił na widownię na krótko przed słynną już „rewolucją kulturalną”, która — jak to dziś można sądzić — miała na celu obalenie aparatu partyjnego i stworzenie oparcia w „re-

wolucyjnych masach” i wojny. Przy czym największym paradoksem w dziejach współczesnego ruchu robotniczego jest fakt, że wszystkie te zwroty w wewnętrznej polityce Chin dokonują się przy akompaniamencie wrzaskliwej propagandy antyradzieckiej. W marcu ub. roku walkę na słowa nad brzegami rzeki Ussuri zamieniono w walkę na automaty, choć incydenty na granicy radzieckiej zaczęły się znacznie wcześniej.

★

Przypomnienie tych faktów ciągle jeszcze nie daje odpowiedzi na bezustannie nurtujące pytanie o źródła i motywy takiego właśnie postępowania. Próbę takiej odpowiedzi zawiera wydana niedawno przez Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej w serii „Ideologia — Polityka — Obronność” książka radzieckiego autora M. S. Kapicy pt. „Na lewo od zdrowego rozsądku”.

„Chiny są krajem — przypomina M. S. Kapica słowa napisane przez Mao Tse-tunga w 1942 r. — który ma niezwykle liczną warstwę

Nie mam szczęścia do odwiedzin Łódzkiego Ogrodu Zoologicznego. Niekróć tam idę, zaczyna padać deszcz. W tym roku tak samo jak przed dwoma laty, choć wówczas była jesień, padał deszcz i większość zwierząt schroniła się w krytych pomieszczeniach. I tak samo jak wtedy deszcz nie przeszkadzał dwóm młodym gepardom. Ich obecność na wybiegu była wówczas prawie sensacją. Łódzkie ZOO, jako pierwsze w kraju, zakupiło te koty, nieco odmienne od reszty swych kocich krewniaków. Gepardy mają nogi dłuższe, jako jedyne z kotowatych nie mogą chować pazurów. Na krótkich odległościach — są najszybsze z wszystkich ssaków i dlatego były ongiś używane do polowania na antylopy. Uważane też są za najłatwiejsze do oswojenia. Ich przybycie do Łodzi otoczone było dreszczem naukowej niespodzianki: jak się zachowają na wybiegu, jak się zaaklimatyzują, jednym słowem jak się przyjmą na łódzkim gruncie? Przybyciu temu towarzyszyło zainteresowanie wszystkich ogrodów zoologicznych w kraju. Dziś, po dwóch latach Apollo i Afrodyta (bo takie imiona otrzymały) są już zadomowionymi mieszkańcami ZOO, stanowią bardzo zżytą i zgodną parę, nie zostają się ani na chwilę, gdzie Afrodyta tam i Apollo, ale Łódźcy hodowcy nie stwierdzili, żeby były łatwe do oswojenia. Szczególnie Apollo jest raczej agresywny, obydwie ulokowane są tak, by nie widziały innych zwierząt znajdujących się na wybiegach.

Nie boją się również deszczu trzy pantery — tygrysyce, zakupione przez Łódź równocześnie z gepardami. Belita, Bota i Benia przyszły na świat w hamburskim ZOO 25 sierpnia 1967 roku. Ojciec urodził się w Lipsku, matka — Sasza, dzika, Dziadek po mieczu — Ussuri, urodził się w Lipsku, pradziadek — Amur... Skąd ja to wszystko wiem? Z metryki i to nie takiej zwykłej, jaką mają wszystkie zwierzęta. Tygrysy syberyjskie, największe i chyba najpiękniejsze ze względu na ubarwienie z wszystkich tygrysów, są zagrożone zagładą i jako gatunek ginący znajdują się pod opieką Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody, której główna siedziba znajduje się w Szwajcarii. Unia ta czuwa nad całością świata zwierzęcego, a wszystkie gatunki, które zostaną uznane za zagrożone, wchodzi na specjalną listę. Kontrolę i opiekę nad tygrysami syberyjskimi sprawuje Praga, tam znajduje się rejestr wszystkich okazów. Natychmiast po zakupieniu tygrysów Łódzkie ZOO otrzymało z Instytutu Systematyki Zoologii Uniwersytetu Praskiego metryki do wypełnienia. Znajdują się tam wszystkie dane dotyczące ce samego zwierzęcia i jego przodków. W wypadku naszych tygrysów drzewo genealogiczne obejmuje tylko linię ojca, dane rodzinne matki są nieznane; dzika, zapewne odłowiona na terenach dalekiej Syberii, skąd głównie tygrysy te pochodzą.

Piękne, okazałe, potężne, ożywają się zwykle około godziny drugiej po południu, rozpoczynają baraszkowanie i kąpiel w fosie, gdzie woda jest specjalnie dla nich obniżona do bezpiecznej głębokości. Choć siostry, mają różne charaktery. Dwie żyją w przyjaźni, często przebywają razem, jedna jest indywidualistką, trzyma się na uboczu, natura raczej refleksyjna. Każda z nich zjada dziennie 13 kilogramów mięsa (z kością), ale dla higieny i zdrowia nie dzieli jest dniem postnym, raz w tygodniu lepsze danie, na przykład rybka i od czasu do czasu pasztecik. Pod tą zdradliwie apetyczną nazwą kryje się mielone z warzywami i zieloną papką. Też dla zdrowia, ale tego bardzo nie lubią tygrysy. Dlatego pasztecik jest podawany w poniedziałek, po niedzielnej głodówce. Wówczas nawet gorzkie danie smakuje.

Panny dorastają, wkrótce czas będzie pomyśleć o mężu. Dlatego pierwszą pozycją na liście zakupów Łódzkiego ZOO jest tygrys syberyjski — samiec. Ale nie jest to sprawa prosta. W przypadku zwierząt skazanych na zagładę, przychodząca na świat potomstwo ma znaczenie międzynarodowe. Musi być zdrowe, mocne, gwarantujące podtrzymanie gatunku. Więc o wyborze męża dla Belity, Boty i Benia zapadnie odgórna decyzja. Najlepiej, żeby nikt z najbliższej rodziny. Wiadomo na razie,

Młodzie! Myślałam, że zobaczą małe lewki a tymczasem towarzystwo już prawie do rosło, lwom syją się już grzywy. Na razie prowadzą leniwy żywot sybarytów (to po dobowo lwi charakter), ale niebawem nadejdzie czas rodzinnych obowiązków. Łódźcy hodowcy myślą już o przychówku. Będzie to jednoznaczne z koniecznością pozbycia się dwóch samców, bo król puszczy nie lubi konkurencji w rodzinie. Który z nich zostanie w Łodzi — przyszłość pokaże. Ze sprzedażą lwów nie będzie kłopotu.

Te cenne i wspaniałe nabytki Łódzkiego ZOO na przestrzeni minionych dwóch lat, to oczywiście radość dla zwiedzających i dumą dla ogrodu. Ale co nie mniej ważne — nowy materiał dla badań naukowych prowadzonych przez zespół hodowców. Możliwość obserwacji warunków rozmnażania, podtrzymywania gatunku w warunkach ogrodu zoologicznego, ratowanie słabych noworodków, często niszczone przez matkę, obserwacja procesów fizjologicznych, rozwoju zwierzęcia od chwili jego urodzenia — to sprawy dla hodowców bardzo ważne, a nie zawsze dostatecznie znane. W przewidywaniu wyżu „zoograficznego” hodowcy łódzcy powinni chyba uzyskać możliwość wyjazdu do innych ogrodów zoologicznych, choćby tak bogatych w zwierzęta i doświadczenia jak lipski czy praski, by podpatrywać, obserwować i nabierać doświadczenia. Byłoby to niewątpliwie tańsze, niż eksperymentowanie na pierwszych potomkach naszych zwierząt.

Dziś Łódzkie ZOO może poszczycić się piękną kolekcją drapieżców. I niezależnie od tego czy lubimy naszego domowego kota — dachowca, czy nie, jego potężnych krewnych oglądamy z zachwytem podziwiając piękne, leniwe harmonijne ruchy tak samo zręczne i precyzyjne u małego kociaka jak u wielkiego władcy zwierząt. Ale, skoro dziś postanowiłam odwiedzić koty, to jeszcze kogoś mi tu brak. Właśnie — pantery, jaguary i pumy. Niestety, nie dla nich wolna przestrzeń i wybiegi. Są zbyt zwinne, lekkie, zręczne, za dobrze chodzą po drzewach. Fosa jest dla nich za małą przeszkodą. Uciekłyby z ogrodu. Otrzymały więc pomieszczenie w starej lwiańni (Kasia i Marynka pojechały do warszawskiego ZOO, tam mają lepsze warunki), która wkrótce będzie unowocześniona i wygodniejsza dla nich. Trzy pantery: cętkowana Nimba i czarne Nigra i Negro żyją w całkowitej harmonii. Czarne przyszły na świat w Łodzi, ale pantery w niewoli nie są dobrymi matkami. Porzucają potomstwo po urodzeniu. Negro na przykład jest wykarmiony przez sukę. Do władzy się dopiero teraz, że cętkowane i czarne pantery należą do jednego gatunku i że z jednej matki mogą przyjsić na świat czarne i cętkowane, niezależnie od koloru rodziców.

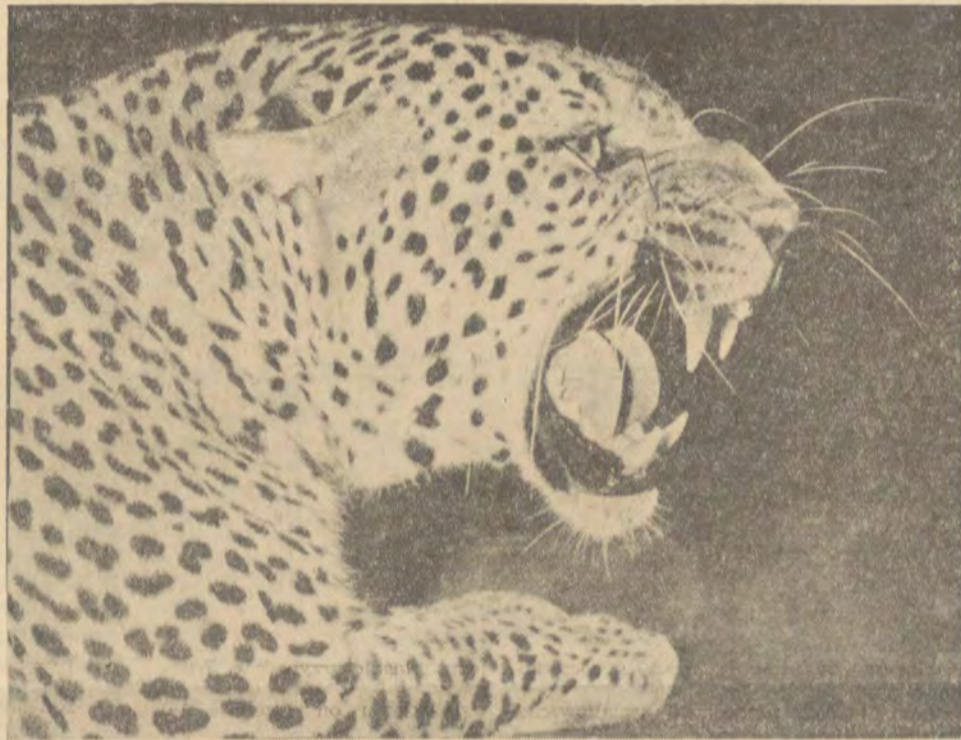
Dwa jaguary (na pozór trudno je odróżnić od cętkowanych panter) nie stanowią dobranej pary, nie doczekają się też potomstwa. To zwierzęta występujące w naturze często w pojedynkę, dobiegające się w pary dość trudno.

Za to rodzina bezwzględnie pum jest dość liczna, tegoroczny przychówek podrosł już znacznie i fuka na przybyszów bardzo nie przyjaźnie. Natomiast całkowitą obojętność wobec otoczenia wykazują niewielkie, ale bardzo urodziwe karkale ze spiczastymi uszami zakończonymi pędzelkami włosów, rysie o podobnych uszach i charakterystycznych „bokobrodach” i wreszcie żbiki. Te odwzajemniają się tylko za obojętność gości odwiedzających ZOO, którzy lekceważąco mówią: przecież to zwyczajny kot. Tymczasem żbik — ko czujący górski samotnik, objęty jest ochroną gatunkową jako zwierzę ginące. Po dobowo czysty gatunek bardzo trudno dziś spotkać, bo żbiki krzyżują się z kotami do mowy, ale jak mnie zapewnił, w Łodzi kim ZOO znajdują się autentyczne żbiki.

I jakby to zamknięcie mojej — tym razem wyłącznie kociej wizyty w ZOO, w jednym z pomieszczeń pozawystawowych spotykam całkiem zwyczajnego dachowca zwiniełego w kłębek na krześle. Widocznie jednak niedalekie sąsiedztwo jego potężnych krewnych daje mu poczucie własnej godności i bezpieczeństwa. Patrzy na ludzi bardzo nieprzyjaźnie.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Koty z metryką



że mąż będzie pochodził z hodowli hollenderskiej.

Przed dwoma laty piękne wybiegi dla lwów były puste. Dwie stare lwice Kasia i Marynka przywyczone do życia w klatkach nie umiały korzystać ze swobody. Umie z niej korzystać sześć pięknych okazów, zakupionych w ubiegłym roku. Najpierw przyjechała półroczna para z Lipska — Simbo II i Simona. Dwa oswojone, żyjące z ludźmi lewki, lasily się i do pominaly o pieszcoty. Po nich przybyły dwie następne pary, nieco starsze, półtoraroczne z Halle: Donia, Dada, Drab i Drakon. Te nie były tak towarzyskie. Po czątkowo boczyły się na siebie, Simbo trzymał się z Simoną, reszta osobno. Młodsze dostawały jeść najpierw. Teraz cała młodzież żyje już w dużej zgodzie i przyjaźni.

Po okresie nadmiernego przyrostu naturalnego lwów w ogrodach zoologicznych i okresie wprowadzonego potem „świata domowego macierzyństwa”, dziś na rynku zoologicznym lwy są znów dobrze widziane.

Być może wpływa na to m. in. rozpowszechniająca się obecnie w Europie moda na „safari” — zwiedzanie ogrodów zoologicznych samochodami. Zwierzęta są tam wypuszczone na swobodę. Taki ogród istnieje pod Paryżem, jego atrakcją są lwy. Jak dotąd jednak lwy zawiodły — wykazują absolutną obojętność wobec zwiedzających i o dreszczu grozy nie ma mowy. Założenie podobnego ogrodu planują Czechosłowacy w miejscowości Dvor Kralove i pod tym kątem czynią już zakupy.

drobnomieszczaństwa i nasza partia znajduje się w otoczeniu tej ogromnej warstwy społecznej. Zresztą wielu członków naszej partii wywodzą się ze środowiska drobnomieszczańskiego i każdy z nich nieuniknionie przyniósł z sobą krótszy czy dłuższy drobnomieszczański ogon”.

Drobnomieszczański rodowód „całkowicie nowego etapu marksizmu-leninizmu” będzie się wielokrotnie powtarzał w analizach i ocenach dokonujących się w Chinach przemian. M. S. Kapica uważa, że również sam Mao Tse-tung nie jest wolny od drobnomieszczańskich obciążeń i że właśnie drobnomieszczańska ideologia legła u podstaw „wielkiego skoku” i ona także stanowi podstawę chińskiego nacjonalizmu i wielkoczarstwowych dążeń. W opublikowanym niedawno w „Prawdzie” artykule redakcyjnym pt. „Pseudorewolucjonizm bez maski” tak określa się maoizm:

„Rozwój wydarzeń w Chinach ujawnił prawdziwą istotę maoizmu. Reprezentuje

on reakcyjno-utopijną, drobnomieszczańską koncepcję, która w sensie teoretycznym stanowi eklektyczną mieszaninę najrozmaitszych poglądów, zawierających elementy konfucjonizmu, anarchizmu, trockizmu i drobnomieszczańskiego nacjonalizmu. Maoizm — to antyleniowski kierunek polityczny, którego podstawą jest socjalszowinizm w wydaniu chińskim”.

Kiedy w maju 1959 r. Mao Tse-tung odsunął się od życia politycznego, aby zająć się problemami teoretycznymi, powrócił on myślą do wydarzeń z 1935 r., kiedy to po wielkim marszu, Jenan stał się stolicą wyzwolonych terenów, a jednocześnie obłożonych przez wojska burżuazyjne. Wtedy, w toku walki narodowej koncepcja oparcia się o masy ludowe, będące jednocześnie chłopami i żołnierzami, kiedy każdy „trzymał w jednej ręce motykę, a w drugiej karabin”. Zacołanie gospodarze tego olbrzymiego kraju, brak silnego proletariatu zwróciły uwagę przywódcy na masy chłopstwa, a jednocześnie

nie przypomnieli o potęgę i zdyscyplinowanie armii. Tak, po klęsce „wielkiego skoku” narodziła się koncepcja „powrotu do Jenanu”. I chyba w tym można upatrywać przyczynę rozpętania hysterii antyradzieckiej, wytwarzania psychozy stałego zagrożenia i kreowania Związku Radzieckiego na „głównego wroga”, jedynie zagrażającego Chinom. Stąd liczne oskarżenia o „przywrocie kapitalizmu w ZSRR”, bajdy o „nowych carach na Kremlu” i tym podobne „argumenty” w bezprzerwy trwającej antyradzieckiej kampanii. Dla ścisłości warto może przypomnieć, że kampanię tę przetrwano na krótki okres jesienią ub. roku, kiedy to premierzy ZSRR i ChRL spotkali się na lotnisku w Pekinie.

☆
„Określ nie może płynąć po morzach bez sternika — pisał w marcu 1964 r. pekiński dziennik „Zenminzjapao” — niemożliwe jest dokonanie rewolucji bez studiowania wybranych dzieł Mao Tse-tunga, Księgę nie mo-

że świecić bez słońca, kielki bez wody deszczowej usychają. Jeżeli nie będziesz studiował idei Mao Tse-tunga to nawet wyciągając wzrok, stracisz kierunek”.

W tym samym 1964 r. — przypomina M. S. Kapica — chilijski poeta Pablo Neruda tak pisał o kulcie Mao Tse-tunga:

„Na każdej ulicy, na każdym drzewie zobaczycie portret Mao Tse-tunga. Mao Tse-tung przekształcił się w żywego Buddę, którego od narodu dzieli zaufani biurokraci, interpretujący zgodnie z jego życzeniem marksizm i współczesną historię. Chłopi nisko się klaniają i kłękają przed portretem wodza. Doprawdy, czy to jest komunizm? Jest to raczej śmieszne, nie do przyjęcia, to mistyczna, religijna część”.

Dnia, tygodnie i miesiące „rewolucji kulturalnej” przyniosły wiele zdumiewających informacji o kulcie przywódcy i przypominam to dość już znane fakty tylko dlatego, że stanowią one w koncepcji „nowego marksizmu” ważny element. Z

okazji wystrzelenia pierwszego chińskiego sztucznego satelity agencja Sinhua nie omieszczała przypomnieć, że wszystkich sukcesów Chin do konano dzięki mądrym kierownikom przewodniczącemu Mao. Kult Mao ma zastąpić wszelką wiedzę specjalistyczną, a studiowanie jego wybranych myśli ma pomagać w rozwiązywaniu najbardziej skomplikowanych problemów ekonomicznych, czy technicznych. Jest to jednak „wiedza” dla maluczkich, bowiem — jak przypominam — „Polityce” Maciej Ilowiecki — nawet w najbardziej burzliwych dniach „rewolucji kulturalnej”, kiedy to burzono stary porządek, pilnie baczono aby ludzium realizującym program rakietowy i nuklearny nie stała się żadna krzywda. Jest to więc pożywką, którą daje się zamiast informacji i wiedzy, bo na przykład do dziś jeszcze miliony Chińczyków nie wiedzą, że człowiek już dwukrotnie lądował na Księżycu.

Specjaliści utrzymują, że Chiny w niedługim czasie będą dysponowały raketami

zdołnymi do przenoszenia głowic nuklearnych. Czytając pilnie informacje napływające z Chin ludzie zadają sobie pytanie: i co dalej? Przywódcem chińskim udało się pozornie „powrócić do Jenanu”. Nie udało im się na szczęście wciągnąć międzynarodowego ruchu robotniczego na drogę awanturnictwa, jak też nie udało im się zdobyć przewodnictwa w Azji i Afryce. Ale klęski te nie cofnęły ich z obranej drogi.

„We wszystkich swych postępkach — przypomina słowo dowódcy z epoki Han Czu-fu w swojej książce M. S. Kapica — nie czyni tego, co sprawiłoby goręcy twoim przyjaciółom, a dostarczyło radości wrogom”. Przywódcy Chin w swoich politycznych i społecznych „eksperymentach” przynoszą szkody nie tylko międzynarodowemu ruchowi robotniczemu, ale i własnemu narodowi. I to jest najsmutniejsze.

M. S. Kapica. „Na lewo od źródła rozsadku”. Wyd. MON, Warszawa 1970. Wyd. 1, str. 312.

Jury V Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi nagrodziło i wyróżniło szereg utworów nadesłanych na konkurs poetycki. Utwory te będą drukowane w kolejnych numerach „Odgłosów”. Poniżej zamieszczamy kilka z nagrodzonych wierszy.

JERZY JARMOŁOWSKI

Godło: „Robota”

(Nagroda Zarządu Głównego Zw. Zaw. Prac. Przem. Włókienniczego za wiersz o pracy)

Dyskurs o robocie

Jest że robota wielorakich imion
Ma imię głodu, ognia i spokoju
A chociaż pnie się od ramion do skrzydeł
To się wywodzi od widel do gnoju

Jest że robota poganiana głodem
I ta ma skórę pociągówch zwierząt
Co trza je wypruć a wtedy uwierzę
Ze głody rosną w pozłomach i pionach

Jest że robota kiedy kto tak śpiewa
Ze pręty stali wpadają w rezonans
Choć przecie on to nie o stali śpiewa
A jeno śpiewa na wysokich tonach

Jest że robotą pisać o robocie
Jako i o tym że pies w parchach kona
Przeto panowie mi nie nakazujcie
Nadawać słowom sklamane imiona

Bo jest robota jeszcze pełna wrzasku
Zbyt często grzęźnie w krtaniach oratorów
A jest że ona nie by o niej gadać
A przecie po to żeby ją wykonać

MAŁGORZATA BIEŻAŃSKA

Godło: „Dominik”

(II nagroda)

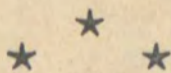
Otwarty wiersz

Ty, który nasłuchujesz siedząc na zwałonym pniu.
Opowiadam zwałone pnie, powalone zwierzęta.
Opowiadam płynące obrazy. To, co najcichsze.
Wodę, piasek, dogasający ogień.
Zamknięte źródło.
Mówię, otwieram.
Nasłuchujesz echa, które już nie powróci.
Powraca stale — w strumieniu, w ogniu,
w otwieraniu ust. Odnajdujesz w nim siebie.
Twoje echo.
Zamknij źródło, którzy przyszli przede mną.
Teraz je otwieramy, nasłuchując i patrząc.

DOROTA CHRÓSCIELEWSKA

Godło: „Marabut”

(II nagroda)



Abstrakcyjnego człowieka kochamy bo brzmi
dumnie i kariery nie robi i palce
nie drżą mu jak płomień świec kiedy im gardła
rzemień wiatru obwiąże
Bo nie musi wybierać codziennie
co dzień między prawdą a prawdą Nie musi umierać
po tysiącokroć
I widzieć na różowo I widzieć z ukosa
Bo ma na firmamencie przypisaną gwiazdę
Przez Tego który dłońmi wodzi po niebiosach
Bo nie myśli że myśląc jest A więc nie bywa
w najlepszym towarzystwie Więc nie bywa wcale
I nie włożą mu w trumnę z tombaku medalii
I nie włożą go w trumnę bo sobie nie kupił
zegarka co czas strwoni
Bo musimy wybierać codziennie
Co dzień między kłamstwem a kłamstwem

Musimy umierać
po tysiącokroć
Różowo oglądać z ukosa
Bo nam na firmamencie przypisany cień
Przez Tego który dłońmi wodzi po niebiosach
Myślmy że myślmy Więc jesteśmy stale
I nie włożą nam w trumnę z tombaku medalii
I nie włożą nas w trumnę Bo jesteśmy stale
jak ten który zegarka najsprytniej nie kupił
Abstrakcyjnego człowieka kochamy bo głupi

GUSTAW ROMANOWSKI

Godło: „Gazwa”

(III nagroda za wiersz o Łodzi)

Nocą

Nocą domy złożyły swoje lby zmęczone
na wyziębłych chodnikach — śniąc o defiladach

ciemność sycząc nad tropem zarówek rtęciowych
całowała grzbiet miasta do przedmieść się tułąc

złocisty wąż Piotrkowskiej w skorupce neonów
wolno sunął ku Górnej przygarniętej nocą

gdzieniegdzie tramwaj nocny — sługa przestraszony
przebiegł z wrzaskiem po szynach świtu wypatrując

Wtedy gruby Kościuszko zsunął się po słupie
i pognął w dół po Zgierskiej spiżem pohukując

(Z cyklu „Łódzka patelnia”)

MAREK OLEJARCZYK

Godło: „4/5”

(II nagroda)

Zółta choroba

Przypis: *Pawien Francuz napisał „Dzumę”, książkę o nas. Ale nikt go nie czyta, dlatego możemy ćwiczyć spokojnie.*

ona jest w nas nie ma jeszcze chorągwi na dachach
więc nie świadczy o jej obecności

zbieramy się w nocy
aby ćwiczyć stawianie na bacność
gwałcimy piękne lale zdjęte ze sklepowych wystaw
dowódcy centurii obiecują nam
prawdziwe kobiety

na razie
szcujemy na siebie swoje psy wewnętrzne
rozpruwamy wnętrzości manekinom
i muszę przyznać że choć to tylko płótno i trawa lub
plastik

to przecież poznajemy prawdę o człowieku

zwłaszcza ten moment jest istotny
gdy po dwóch po czterech po szesnastu nawet
rzucamy się na jedną lub jednego

sfora psów wybiega nam z gardeł
stajemy się wolni
nikt tego co robimy nie nazwie morderstwem
wszak ćwiczenia prowadzą do doskonałości

czekamy na niego ma nam się objawić
utrzymujemy wciąż swoją gotowość
poprzez oddawanie wojskowych honorów
pustym ramom wiszącym na ścianach

administracja włoży w nie niebawem
podobną wodza



Rys. E. Ingot

ZENON RUDNICKI

Monolog

— Zaraz po urodzeniu przynieśli mnie tutaj. Trzyście lat temu i pozostanę w tym zakładzie na zawsze. Ile jeszcze czasu przede mną?...

Cieszę się, że pan przyszedł. Nie znam pana, a jednak cieszę się. Rzadko tutaj ktoś przychodzi, bo i po co?

Czuje pan, mocniej bije moje serce. Podał mi pan swoją dłoń i ja podałem panu swoją, taką wiotką, inną od innych.

Widzi pan, cienkie żyłki na skroniach pulsują mocniej. Sprzed oczu znika mgła. Nawet usta stają się pełniejsze. Karłowate uszy na dużej, siwej głowie słyszą dźwięki, które płyną z mojego gardła. Nigdy nie sączyło się przez nie ciepłe mleko z piersi matki.

Pozwoli pan, że będę leżał. Nie mogę się podnieść. Mój kręgosłup to jak gałązka brzoźki. Nie wiem, po co zwisają mi tutaj na dole jakieś kikuty obleczone w podwinięte rajtuzy. To mają być nogi. Nie wie pan, co to są nogi? Mnie są chyba niepotrzebne. Na pewno niepotrzebne, skoro ich nie mam, prawda? Nie, nie straciłem ich. Same nie wyrosły.

Proszę, niech się pan przysunie, tutaj, bliżej. Czysty jestem.

I pościel mam czystą. Koszulkę z niebieską łasiemką pod szyją, bo podobno jestem chłopcem. O, widzi pan, moja sąsiadka ma różową. Ona uchodzi tutaj za dziewczynkę. Jest pracowita. Cały dzień przesuwa wysunięty, bezwładnie zwisający, różowy język z lewej strony oślinionego kącika ust w prawy kącik. Sąsiadka jest o rok starsza ode mnie. Dlatego ma więcej siły. Kładzie się dopiero o zmierzchu. W dzień siedzi w okrętowanym łóżeczku i kolysze się, jak wioślarz. Raz do przodu, aż do stóp. Potem do tyłu uderzając lekko o wez-głowie łóżeczka. Właśnie wtedy przesuwa swój język w drugi kącik ust. Dziwne, prawda? I nie mogę zrozumieć, co wtedy mówi. Coś takiego, jak gdyby: szach, szach, szach...

Czy to pogoń za jakimś królem na morskiej szachownicy?

A ten, mój sąsiad z lewej, także z niebieską wstążeczką, jest mniej pracowity. Nie lubi poruszać się o własnych siłach. Ale biedaczek nie wie, że są już rakiety międzyplanetarne. On podróżuje swoim wózkiem zaprzęgniętym w parę kucyków. Bez przerwy pogania je, dzień i noc, dzień i noc: wio, wio, wio...

Nie zwraca uwagi na nic. Jedzie naprzód. Tylko dokąd, dokąd?

Eh, zaczynam filozofować, a przecież nie przedstawiłem panu jeszcze wszystkich mieszkańców naszego zakładu. Dużo jest nas tutaj, prawda? Ma pan czas? Już zmierzch. Pan nie będzie tutaj spał. Nie mógłby pan zasnąć. Bez przerwy coś się tutaj dzieje. Niektórzy przypominają sobie nagle coś i krzyczą, głośno krzyczą. Ale ja przywykłem do tego.

Przywykłem także do zielonego ogrodu, wiosną, latem, je-

sienią. Kiedy słońce, które teraz zaszło, świeci nad naszym domem, wtedy przenoszą nas panie, z upiętymi białymi skrzydłami nad głową, na podwórze, a potem do ogrodu. Zieleni wspina się po szarych murach. Sirzegą nas szklane oczy czystych okien, które wychodzą na ogród. Obok jednego okna na pierwszym piętrze tkwi w murze jakaś kula, jak zaczarowana piłka. Może sobie tkwić, może być zaczarowana. Tutaj i tak nikt nie umie grać w piłkę. Mówią, że to szwedzka kula armatnia. Czas wyżłobił w niej rdzawę ścieżki podobne do włosów. Spływają po pyzatej, piaskowej twarzy. Czasem mam ochotę z nią porozmawiać, ale ona nie ma jeszcze ust. Może jej kiedyś urosną? Może dowiem się od niej, co robią dzieci po drugiej stronie muru. Może powie mi, czy ja mam tatusia i mamusię. Są podobno takie dzieci, które ktoś pieści i prowadzi za rączkę na spacer. Jak oni to robią. Czy pan umie prowadzić dziecko za rączkę na spacer?

Ja panu opowiadam, opowiadam, a przecież pan nie rozumie. Pan nie może nie zrozumieć, bo ja nie umiem mówić, ja nie umiem myśleć. Nic nie widzę, nie słyszę. Ja umiem tylko jeść, ale nie czuję smaku. Niech mi pan nie daje cukierków, po co?

Kazano mi być. Tylko dlaczego w mojej krwi jest od samego początku wódka?...

— Wio, wio, wio...

— Szach.

— Dlaczego?

— Wio...

— Szach.

— Proszę, niech pan już idzie. Muszę przewinąć chłopca.

ELŻBIETA LUKASIEWICZ

LUDZIE
XXV-lecia

Lech Kunka

Lech Kunka urodził się w 1920 roku w Pabianicach koło Łodzi. Studia artystyczne odbył w łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Kontynuował je w Paryżu w pracowni znakomitego francuskiego malarza Ferdynanda Legera. Obecnie wykłada malarstwo w PWSSP w Łodzi. Brał udział w 110 wystawach w kraju i za granicą: m. in. „Arsenał warszawski”, I i II Wystawa Sztuki Nowoczesnej — Warszawa, Wystawa z okazji Międzynarodowego Roku Praw Człowieka w ramach ONZ — Warszawa, I, II, III, IV Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego — Szczecin, IV, V, VI „Jesiń Bielska” — Bielsko-Biała; wystawy zagraniczne: Wystawa Młodej Plastyki — Berlin, Lipsk, Londyn, Sueda Galeriet — Sztokholm, Moderne Polsk Maleri Bergens Kunstforening — Norwegia, Moderne Polsk Melerkonst Charlottenborg — Kopenhaga. Nagrody i wyróżnienia: Nagroda Ministra Kultury i Sztuki, II nagroda na Ogólnopolskiej Wystawie Malarstwa, „II Jesienne Konfrontacje” — Rzeszów, wyróżnienie i brązowy medal na III Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie, III nagroda z wystaw konkursowych na obraz sztalugowy ZPAP — Łódź, 1964, 1965. Obrazy Kunki znajdują się w zbiorach muzealnych Warszawy, Oslo, Łodzi, Wrocławia, Słupska, Olsztyna.

1.

Rzeczywistość w relacji ze sztuką traktowana jest jako inspiracja do tworzenia wciąż nowych znaków estetycznych. Kapitałną cechą rzeczywistości XX wieku jest nie mająca precedensu w historii eksplozja cywilizacyjna, niesłychany rozwój nauki i techniki. One to ukształtowały wewnątrz współczesnego artysty — plastyka, który poprzez nowe formy obrazowania malarskiego poszukuje określników nowej, agresywnej epoki. W poszukiwaniu nowych sfer inspiracji, artyści penetrują nieznane dotąd obszary, odkrywają nowe dziedziny. Jedną z nich jest nauka i jej rozmaite dyscypliny: matematyka, fizyka, cybernetyka, biologia. Koneksi nauki i sztuki mają już zresztą pełną chwałę tradycje, jednakże nigdy więzy owe nie były tak silne i nie pamięta się w sztuce tak wielkiego wewnętrznego napięcia, spowodowanego pragnieniem maksymalnej aktualizacji.

I tak malarstwo materii, strukturalizm — często korzystają z form świata biologicznego, sięgają do mikroskopowych przekrojów liści, drzew, owadzych skrzydeł etc. W końcu lat 50-tych tendencja ta dotarła do Polski i jednym z jej gorą-

cych entuzjastów stał się Lech Kunka. Zwykle, jak w przypadku Fritza Hundertwassera, Jean Le Moala, André Lanskoj'a motyw struktur biologicznych był tylko epizodem twórczości, w przypadku Kunki stał się motywem wiodącym i podstawowym. Używamy często zwrotu „artyści odnalazł siebie”, albo „skryształowała się indywidualność twórcy” — w przypadku Kunki pełnię założeń artystycznych przyniosły lata 1957—58.

„Każdy artysta poszukuje własnej „formy współczesności”, aby dać swoją prywatną ocenę epoki. Nasze czasy są dla nas pasjonujące, prawdziwe, ale zarazem niesłychanie skomplikowane: człowiek uwikłany jest w kontekst niespokojnego świata, osaczony przez nową cywilizację, politykę, nowe układy społeczne, ekonomiczne. Pękają więzy moralne, rodzinne, osobiste — nastąpiło rozbitcie całej racjonalnej struktury świata. Dotychczasowa tradycyjna wiedza nie wystarczy już do rozwiązania naszych problemów. Całościowy obraz świata uległ rozbitciu na „elementy pierwsze”. Próbowaliśmy więc odnaleźć strukturę podstawową, która byłaby najbardziej adekwatna do treści, jakie niesie nasza epoka. Najmniejszą cząstką życia jest komórka, struktura owalna i dość regularna.

Regularny owal, to kształt występujący chyba najczęściej zarówno w mikro- (struktury biologiczne), jak i w makrokosmosie (układ słoneczny). Ta pierwotna forma stała się w mojej twórczości formą pierwszą i podstawową.”

2.

Powstały cykle prac monochromatycznych o konstrukcji reliefowej, złożonej z różnej wielkości kragłych i wypukłych form elementarnych. Wizje te nieodparcie nasuwają wyglądy powierzchni raf koralowych lub mikroskopowe powiększenia przekrojów roślinnych. Pełno tu aluzji i symboli biologicznych. Płaskorzeźby o kunsztownej, często srebrzystoszarej gamie kolorystycznej mieniają się i przy łada ruchu falują niespokojnie. Niekiedy są to obrazy malowane płasko, w których jednostkowe formy komórkowe zaakcentowane są mocnym zarysem konturu. Nie regularne skupiska ziaren i atomów mają niezaprzeczalny walor dekoracyjności. Nie jest to jednak jałowa estetyzacja, ponieważ dominującą cechą tych ornamentalnych struktur jest ich spontaniczność i żywiołowość i jakaś wewnętrzna biologiczna pulsacja. Są to cechy temperamentu twórczego Lecha Kunki.

Dominującym rysem charakteru Kunki jest agresywna postawa wobec życia i jakaś spontaniczna radość istnienia, naczelną zaś cechą jego twórczości swoista wybuchalność i ekspansywność. Integralnym i oczywistym elementem takiej twórczości jest jej fizykalność i wszechobecny biologizm. Przez całą twórczość Kunki przewija się refrenowo motyw kobieci, a raczej kobiecości. Niegdyś „Murzynka”, dziś „Atomy miłości” obrazują ten sam temat wzajemnej zależności płci na płaszczyźnie emocji i biologii. Równie spontanicznie ustosunkowuje się Kunka do aktualnych wydarzeń politycznych. Zagadnieniom tym poświęcił szereg kompozycji z 1966 i 1967 roku; największą z nich siłą wyrazu wydaje się mieć obraz zatytułowany przez artystę „Cień nad światem”. Na jasnym tle skupisk nieregularnych form biologicznych (życie) zawisł czarny cień samolotu (śmierć). Rdzeniem cienia jest postać rodzącej kobiety, która symbolizuje ostateczne zwycięstwo życia. Obraz zimny kolorystycznie, niewyszukany w swej warstwie symbole, ze względu na ogromny ładunek zawarty w nim emocji, jest jak cała twórczość Kunki niezwykle sugestywny i materialny.

3.

Temperament twórczy Kunki o cechach wybuchalności i rozrzućności jest też zapewne przyczyną uprawiania przez niego rozmaitych dyscyplin plastycznych. Malarstwo ściennie realizuje tęsknoty artysty do malarstwa monumentalnego. Jego prace w łódzkiej Bibliotece Uniwersyteckiej, w kawiarni w Karsznicach zachowują wszelkie cechy oryginalności twórczej Kunki, z całą gwałtownością i żywiołowością kompozycji i ornamentacji.

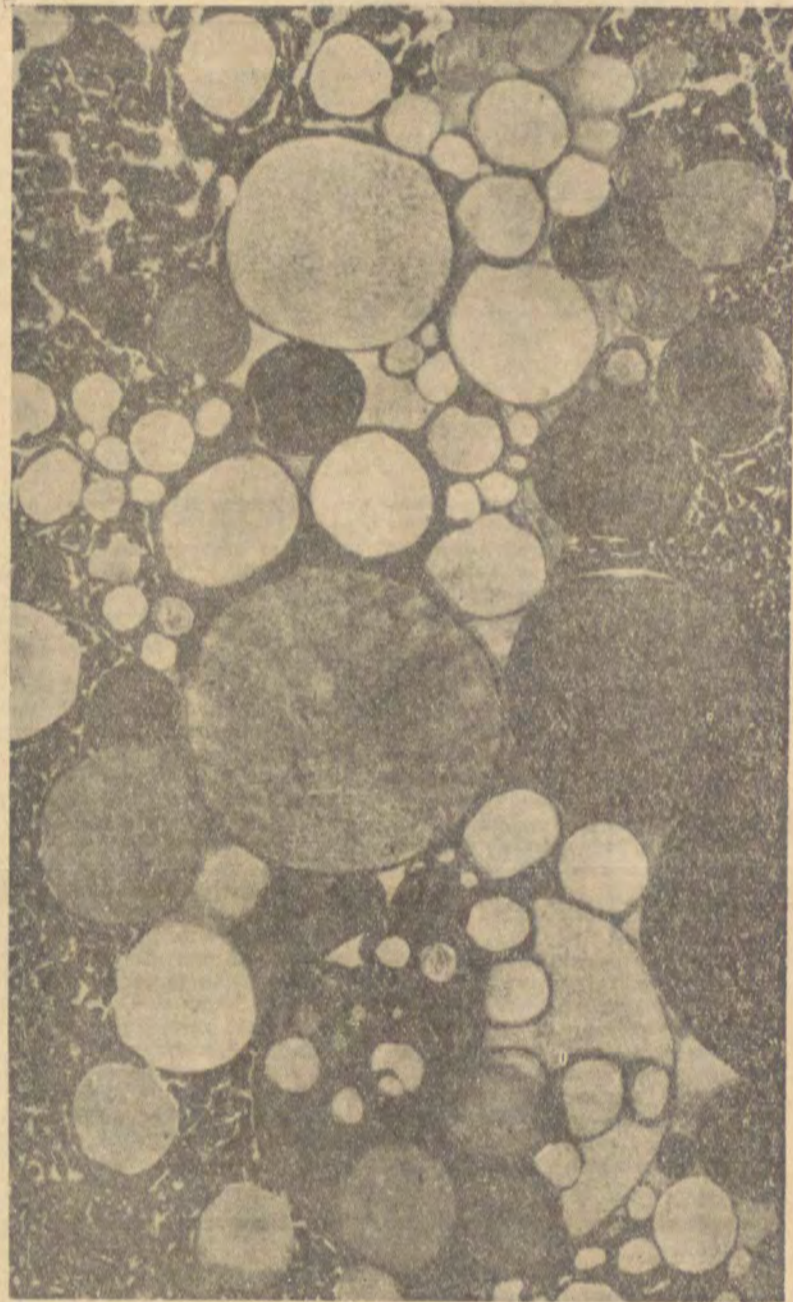
Na elbląskim Biennale Form Plas-

tycznych w 1965 r. wystąpił Kunka z konstrukcją z metalowych, jednokolorowych rur. Choć oszczędna kolorystycznie, ze względu na bogatą, efektowną kompozycję, zachowuje istotne cechy tej twórczości. Nazwisko Kunki przeczytałam przy okazji premiery filmu „Milcząca gwiazda” i następnej — „O dwóch takich co ukradli księżyc”. Kunka jest więc i scenografem.

„Była to jedna z ciekawszych moich przygód. Pamiętam byłem wtedy w Sopocie w związku z odbywającym się tam Festiwalem Malarstwa. Spotkałem polską ekipę filmową, kręcącą w koprodukcji z NRD nasz pierwszy science-fiction, film fantastyczno-naukowy „Milcząca gwiazda”. Właśnie Niemcy ukończyli projekt szklanego lasu na jednej z penetrowanych przez ludzi planet. Projekt nie był udany i kierownictwo, które znało z Festiwalu moje prace, zaproponowało mi wykonanie zupełnie nowego. Zapaliłem się i tak roz-

poczęła się moja 8-miesięczna współpraca z filmem. Robiłem projekty kostiumów, wnętrza, krajobrazów, do słowne „nie z tej ziemi”. Wyobraźnia nieczym nie skrepowana, absolutna wolność propozycji! Potem — „O dwóch takich co ukradli księżyc”... Praca scenografa przyniosła mi naprawdę wiele radości i satysfakcji artystycznej. Kontynuuję ją zresztą do chwili obecnej, robię projekty lalek i dekoracji do łódzkiego teatru kukiełek. Zdarzyło mi się oglądać jedno z przedstawień, do którego robiłem projekty lalek i dekoracji, takie różne zle duszki, czarty i zmorki — podobały się! — i to była duża satysfakcja”.

Kilka migawek z życia artysty, krótka analiza jego twórczości nie są w stanie zrekonstruować pełnego, barwnego portretu Lecha Kunki. Ale dopelni go kiedyś sam artysta — jego renesansowa natura domaga się dalszych, licznych dokonań artystycznych.



Lech Kunka — Kompozycja — olej, 1959

Przeszłość i teraźniejszość

Dziejowy fenomen polskiej szlachty ma u nas od jakiegoś czasu dobrą passę. Nie żeby pisało o niej dobrze, ale dlatego, że proponowane przez naszą współczesną historiografię ujęcia problematyki dziejów szlachty wnoszą coraz więcej nowego do naszej wiedzy i świadomości historycznej. Do takiego wniosku dojdzie zapewne każdy czytelnik książek W. Czaplińskiego, A. Wyczańskiego, J. Jedlickiego i innych, który chętnie też sięgnie po najnowszą publikację Jarosław Maciszewskiego „Szlachta polska i jej państwo”, wydaną niedawno w „Bibliotece Wiedzy Współczesnej” (1969).

W pierwszych latach powojennych stosunek historiografii naszej do fenomenu dawnej polskiej szlachty wyznaczony był przez naszą postawę wobec tej klasy społecznej, która w wyniku socjalistycznej rewolucji zniknęła w naszym kraju z powierzchni ziemi, mianowicie stosunek do obszarnictwa czy, jeśli kto woli dawniejszy termin, tzw. niegdys ziemianstwa. Spojrzenie na dzieje szlachty przez pryzmat

nowoczesnego, kapitalistycznego ziemianstwa wiązało się z ukierunkowaniem uwagi historiografii na zaniedbaną dotąd problematykę klasową szlachty jako komponentu klasy feudalnej, a więc na zagadnie-

Szlachta polska i jej państwo

nia antagonizmów społecznych, różnych form wyzysku i walki klasowej itd., które stały się punktami odniesienia dla oceny także i innych aspektów jej dziejów — politycznych, kulturalnych itd. W społecznym odczuciu krytyka dawnej szlachty była jak gdyby krytyką przedwojennych „dziedziców”, zaś wszelkie — nie daj

Boże — próby ukazania jaśniejszych kart jej dziejów (wbrew pozorom, jest ich przecieć trochę!) bywały odczytywane jako próba obrony klasowego przeciwnika. W dziejopisarskiej praktyce prowadziło to do arcyzabawnego proceduru, polegającego na niezbędnym obdarzaniu przymiotnikiem „szlachecki” tych wszystkich procesów i zjawisk, któ-

re oceniano negatywnie, podczas gdy przy zjawiskach i procesach, które wypadają oceniać bardziej życzliwie, przymiotnik ten zniknął z kart historycznej narracji. Tak więc popolite ruszenie musiało być nieuchronnie szlacheckie wtedy, kiedy dostawało w skórę, podczas gdy nader często zwycięstwa odnosili nieokreśleni

klasowo Polacy. Mówiło się o polskiej tolerancji wyznaniowej w dobie reformacji, aby szybko zastąpić słowo „polska” słówkiem „szlachecka” przy charakterystyce fanatyzmu i nietolerancji okresu kontrreformacji. A przecież to szlachecka, a nie jaka inna, tolerancja wyrodziła się — w wyniku skomplikowanych procesów społecznych — w równie szlacheckie nietolerancje i fanatyzm. Inaczej być nie mogło w tej szlacheckiej Rzeczypospolitej.

Nadszedł niebawem czas rozsądki i różnicowania. Jak wiadomo, dzieje nigdy nie są czarno-białe, taka bywa tylko historia, czyli ich opis. Badania nad międzywojennym dwudziestoleciem coraz precyzyjniej pozwalają nam określić kształt ówczesnego ziemianstwa, jakże niewiele mającego wspólnego z dawną szlachtą dawniej Rzeczypospolitej. Przewijamy schematy dychotomicznych czarno-białych ocen dziejowej roli poszczególnych klas, warstw i grup społecznych w różnych okresach czasu i staramy się spoglądać na proces dziejowy w całym jego skomplikowaniu i wszechstronności.

Gorąco zalecam czytelnikom lekturę książki J. Maciszewskiego. Nie tylko ze względu

na niewątpliwie walory literackie, jasną, prostą formę wykładu. W postaci niewielkiej książeczki zamknął autor bowiem poważną, opartą na wnikliwych studiach syntezę dziejowego fenomenu, któremu na imię szlachta polska i jej państwo. Śledzimy na kartach tej książki dzieje wzrostu i upadku tej grupy społecznej, która chociaż determinowała oblicze klasy feudalnej, przecież się z nią nie pokrywała, która stanowiła walkę narodu przez długie lata, aż po Powstanie Styczniowe, tłumnie zapełniając swymi synami lochy Otomunca, Moabitu i Schlüsselburga, kopalnie syberyjskie i osiedla zesłańców — świadczy o istotnych wartościach, które reprezentowała. To prawda — nie wygasły niektóre jej (jakże ujemne) cechy: anarchizowanie, konserwyzm społeczny, „od ludu rów i przedział” (Sio wacki), zapatrzenie w siebie, skłonność do rozrzućności i życia ponad stan, brak zmysłu gospodarskiego. Uwidoczniły się jednak w najtragiczniejszych dla narodu latach również inne jej cechy: patriotyzm, gotowość do poświęceń, ofiarność, umiłowanie kultury ojczystej. Te wartości kultury szlacheckiej okazały się trwa-

le”.
Kiedy historyk dochodzi do syntezy, staje przed wielkimi problemami tylekroć rozważanymi przez największych z polskich dziejopisów przeszłości. I tu zaczynają się filiacje, często zamierzone, kiedy indziej nie. J. Maciszewski akcentując doniosłe znaczenie przemian drugiej połowy XVIII wieku „które dokonały się w społeczeństwie polskim, środowiska szlacheckiego nie wylaczając”, podkreślając, że tkwiły one korzeniami w polskiej przeszłości, czerpały z niej

pełnymi garściami, nawiązuje do tradycji dziejopisarstwa lelewelowskiego. Czyni to także wtedy, gdy pisze że „warstwa magnacka jako całość odegrała w dziejach Polski rolę ponurą” i stwierdza, że mimo wszystkich tak dobrze znanych wad „o szlachcie w sensie ogólnym nie można powiedzieć tego samego”. Fakt, że z jej łona wyszli działacze obozu reform, że stanowiła ona się podtrzymującą narodowowyzwoleńczą walkę narodu przez długie lata, aż po Powstanie Styczniowe, tłumnie zapełniając swymi synami lochy Otomunca, Moabitu i Schlüsselburga, kopalnie syberyjskie i osiedla zesłańców — świadczy o istotnych wartościach, które reprezentowała. To prawda — nie wygasły niektóre jej (jakże ujemne) cechy: anarchizowanie, konserwyzm społeczny, „od ludu rów i przedział” (Sio wacki), zapatrzenie w siebie, skłonność do rozrzućności i życia ponad stan, brak zmysłu gospodarskiego. Uwidoczniły się jednak w najtragiczniejszych dla narodu latach również inne jej cechy: patriotyzm, gotowość do poświęceń, ofiarność, umiłowanie kultury ojczystej. Te wartości kultury szlacheckiej okazały się trwa-

JÓZEF GRZELAK



Trzy jubileusze

Pięćdziesiąt lat pracy scenicznej, z tego dwadzieścia pięć lat w Łodzi. 25 lat nieprzerwanej działalności scenicznej na scenach łódzkich sprawiło, że nazwisko Stanisława Lapińskiego na zawsze weszło do historii teatru łódzkiego, do jego najpiękniejszych, najchlubniejszych tradycji. Ale nie potrzeba było cześć 25 lat, by artysta stał się jednym z najpopularniejszych aktorów łódzkich, sym patię widowni zdobył Lapa już w pierwszych latach występów. Sprawiała to siła jego talentu, temperament, żywiołowość, vis comica, krwistość autentyzmu tworzonego przez niego postaci.

Występował na scenach warszawskich, poznańskich i innych, ale okres łódzki, sta nowiający w tej chwili połowę jego scenicz

nego żywota, on sam uważa za najznaczniejszy, najważniejszy. Bo właściwie dopiero tu mógł się „nagrać” do syta w swym ukochanym repertuarze klasycznym, w sztukach swych mistrzów: Fredry, Mollie ra, Szekspira.

Trudno byłoby omówić tu drogi kariery teatralnej Stanisława Lapińskiego, nie sposób nawet wymienić ról, które kreował. Ale czy był to Cześnik w „Zemście”, czy Radosz w „Ślubach panińskich”, czy Or gon w „Świętoszku”, Dyndala w „Grzechu rzu Dyndala”, Falstaff w „Kumoszka” i „Henryku IV”, zawsze była to postać bez błędnie odczytana, nacechowana indywidualnością talentu aktorskiego, przemawia jąca żywo i bezpośrednio do widza.

Sceniczne dzieje Stanisława Lapińskiego to kawał historii polskiego teatru. Arty sta łączy okres teatru wielkiego aktorstwa — teatru Jaracza, Osterwy, Solskiego, Zel werowicza — z którego wyrósł, z teatrem dnia dzisiejszego. Nic ze szkoły wielkich mistrzów nie tracąc potrafił znaleźć swo je miejsce w teatrze współczesnym, ani na jotę od niego nie odstając. I to jest

jeszcze jeden dowód, że sztuka przez wiel kie S stoi ponad prądami, modami i kje runkami.

Kiedy przed dziesięcioma laty Stanisław Lapiński obchodził 40-lecie pracy, mówił się nie bez racji, że jubileusz jubileuszem, a artysta tyle ma energii, temperamentu i tak doskonałą formę, że nie o podsumo waniach, lecz dalszych kreacjach mówić należy. Myślę, że i dziś, po 10 latach mo żna to powtórzyć i oklaskując, życzyć i prosić, by grał nam wiele, wiele lat jesz cze.

Oficjalnie Stanisław Lapiński obchodzi po dwójny jubileusz. Nieoficjalnie — potrój ny. Ten trzeci to 50-lecie pożycia małen skiego z kobietą, którą — tańcząc polone za w „Halce” poznał i wkrótce poślubił. Porzuciła swoją karierę sceniczną, by stać się jego wierną i nieodstępną towarzyszką życia. Nie wiem czy ten cichy, nieoficjal ny jubileusz nie jest dla artysty najwa żniejszy. Więc Państwo Lapińscy obydw o je niech nam żyją sto lat!

T. W.

TADEUSZ GIGCIER

W sprawie tzw. zaangażowania

Wokół sprawy tzw. zaangażowa nia w literaturze (bo o tym przede wszystkim traktować ma niniejszy felieton), ale i w gatunkach pokrewnych gatunkom literackim, jak np. reportaż, publicystyka — narosło ostatnimi czasy sporo róż nych nieporozumień. Na dobrą sprawę, nikt chyba nie potrafi określić dokładnie, na czym to prawdziwe zaangażowanie polega. Podjęcie tego tematu nie oznacza bynajmniej, że piszący te słowa pretenduje do wyrokowania w tym zakresie. Ot, po prostu ma być to coś w rodzaju głośnego myślenia, podzielenie się z czytelnikami garścią uwag, poczynio nych na marginesie wyżej wymienio nej sprawy.

Uwaga pierwsza: wydawałoby się, że pewien schemat w rozumieniu zaangażowa nia, obowiązujący w tzw. okresie minionym, został dawno przeczysz ciony. Tak jednak nie jest. Do końca nie przezwyciężono go ni gdy, natomiast coraz częściej zaczy na on odżywać w opowiadaniach, reportażach, w publicysty-

ce, zwłaszcza tej gazetowej, a tak że w forowaniu tego typu twór czości w naszym życiu społecznym i kulturalnym. Idzie tu, rzecz jasna, o działaczy kulturalnych, nie zorientowanych w przedmiocie i najłatwiej ulegających uproszcze niom.

Sprzysają temu również okolicz ności rocznicowe, w które obfitu ją ostatnie lata. Otóż powraca często pogląd, że prawdziwie za angażowany jest taki literat czy dziennikarz, który w swych pu blikacjach opisuje nasze osiągnię cia, porównuje życie dawne z ży ciem dzisiejszym, i wysnuwa wnio ski na korzyść dnia dzisiejszego. Ci, którzy hołdują temu poglądo wi, nie zdają sobie sprawy z tego, że są to wszystko truizmy, rze czy oczywiste, powszechnie wiado me, że nikogo one nie poruszają, niczego nie złatwiają. Przypomi na to trochę człowieka, który sto jąc z boku przygląda się pracu jącym murarzem i chwali ich, że im tak dobrze idzie. Rzecz jasna, żaden ambitny literat czy dzien nikarz nie może poprzestać na

prezentowaniu takiej tylko posta wy w swej twórczości. Jest to bo wiem zaledwie przyczynek do tego, co żyje w ogólnej świadomo ści, a jak wiadomo — przyczy nikiem do twórczości raczej nie należy.

Na szczęście, nie jest to pogląd powszechnie obowiązujący. Wręcz przeciwnie, daje się zauważyć co raz częstsze odchodzenie od niego, i to na szczeblach dość wyso kich. Wypada zaliczyć do nich np. organizatorów ogólnopolskich konkursów recytatorskich, którym patronuje m. in. Ministerstwo Kultury i Sztuki, Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wzyszego, Centralna Rada Związków Zawo dowych, Zarząd Kultury i Oświa ty Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego, a także szereg innych zarządów głównych i instytucji centralnych. Jak wiado mo, w roku bieżącym został ogłoszony XVI Ogólnopolski Konkurs Recytatorski. W założeniach pro gramowych konkursu czytamy m. in.: „W repertuarze eksponowana powinna być poezja i proza po święcona współczesności. Obok li ryki i epiki powinna znaleźć w nim miejsce również twórczość satyryczna”.

Bardzo to znamienne zalecenie, zwłaszcza, jeśli uświadomimy so bie, że tegoroczny konkurs recy tatorski ma charakter wybitnie rocznicowy. A więc nie chodzi bynajmniej o dęcie w puzony (tę energię lepiej zostawić dla innych celów), a raczej o uświadomienie sobie, że jesteśmy ciągle w drodze. Wystarczy więc zagrać jakąś swojską melodię i pomaszerować dalej, a jeśli coś w tym marszu

szwankuje, postarać się, by w przy słości nie szwankowało.

Myślę, że bardzo zdrowe jest to „odgórne” zalecenie. Uwzględnia ono nieustanne ścieranie się sta rego z nowym, częste objawianie się starych postaw ludzkich w oko licznościach, zdawaloby się, naj mniej do tego sposobnych. Rozej rzyjmy się zresztą wokół siebie: ileż tu jeszcze dawnych nawy ków, wygodnictwa, karierowicz ostwa, nieuctwa, zakłamania, oport unizmu, dwulicowości. Ileż dekla racji słownych, za którymi nie idą czyny. Ileż skłonności drobnoie szczańskich, i to czasem w kreg ach, nie mających z drobnoie szczaństwem nic wspólnego. Chy ba więc słusne jest dopuszczenie do głosu twórców, którzy widzą rozmaite schorzenia i wypaczenia pewnych odcinków naszego życia. Słusze propagowanie ich utwo rów. Polska Ludowa jest już do statecznie silna, jej podstawy ustro jowe dostatecznie ugruntowane, żeby miało to jej zaszkodzić, w niektórych zaś wypadkach (bądź my optymistami) może to wyjść naszemu krajowi na zdrowie.

Nie chciałbym być przy tym źle zrozumiany; mimo, że posłużyłem się cytatem związanym z twórczo ścią satyryczną, nie myślałem wy łącznie o tej twórczości, choć mo że ona się przejawiać w różnych postaciach. Myślałem — ogólnie biorąc — o takim stosunku piszą cego do współczesności, który mo żna właśnie nazwać stosunkiem zaangażowanym we właściwym tego słowa znaczeniu.

I tak powoli zbliżamy się do konkluzji. Twórczość prawdziwie zaangażowana to nie twórczość

bierna, deklaratywna, lecz twór czość starająca się czynnie uczest niczyć w życiu kraju, przeżywa jąca z nim jego radości, ale i tro ski, i kłopoty, dążąca do usunie cia tych kłopotów. Twórczość, któ ra nie tylko relacjonuje zachodzą ce przeobrażenia, lecz ma ambic je wpływania na nie, brania w nich aktywnego udziału.

Chodzi tu więc o tych pisarzy i dziennikarzy, którzy mają nie tylko otwarte oczy i uszy, ale i otwartą głowę. O ludzi odważnych, z gorącym sercem, którzy odda dą sprawiedliwość tam, gdzie jest dobrze, a gdzie źle — nazwą to zło po imieniu, i to bez wzglę du na to, gdzie uwiło ono sobie gniazdo. Chodzi wreszcie o dzia łaczy politycznych, społecznych, kulturalnych, i o ich rozumienie, że tacy właśnie twórcy są ich naj lepszymi sojusznikami.

I uwaga ostatnia, związana już tylko z twórczością artystyczną. Otóż — jak powszechnie wiadomo — sztuka powinna troszczyć się przede wszystkim o to, żeby była sztuką; twórcą, żeby był istotnie twórcą, a więc powoływał do ży cia (tworzył) to, czego przedtem nie było, żeby dotykał spraw waż kich przez siebie odkrytych i — przeżytych. Dopiero osiągnąwszy ten stopień tworzenia, twórca mo że się przysłużyć określonej idei. W innym wypadku swoją nieu dołnością nie wesprze jej, a raczej jej zaszkodzi.

Są to wszystkie rzeczy oczywiste, truizmy, i zdają sobie sprawę z tego, że zwalczając taki sposób pi sania, sam weń popadłem. Oto do czego może doprowadzić przejęcie się tematem.

JACEK FRUHLING

WARSZAWSKI WOTATNIK TEATRALNY

Teatr Narodowy, poszerzając zasięg klasyki, nie mógł nie włączyć do swego repertuaru „Hamleta”. Tym razem reżyser i inscenizator ADAM HANUSZ KIEWICZ nie poszedł po linii eksperymentów, z jaką publicz ność warszawska zetknęła się w „Nieboskiej Komedii” i „Kordianie”, w zasadzie pozostaw wierny zarówno tekstowi jak i duchowi utworu, nie sta rał się unowocześnić go za wszelką cenę.

Nowością jest obsadzenie wszystkich prawie ról wyko nawcami względnie młodymi. Nie można temu nie przyklasnać. Tylko że w wypadku „Hamleta” sama młodość wyko nawców nie wystarczy. Bo utwór Szekspira, to dramat ge

niałny. Ukazuje tajemki i zakamarki myśli człowieka, wątpli wości i załamania. Poza tym ma arcybogata treść filozoficzna. I jeszcze jedno: postacie sztuki nie mieszczą się w rysunku syntetycznym, skrótowym, kry ją w sobie ogromne bogactwo odcieni. Chyba dlatego i w Polsce i na całym świecie dra mat Szekspira znajdował i znajduje dotychczas wykonaw ców wyposażonych w doświadcze nie, rozważę, umiętność przekazywania widowni filozoficznej wiedzy autora o świcie i człowieka.

Doświadczenie warszawskie zademonstrowało, że sama mł odość, to jeszcze nie wszystko. Odnosi się to przede wszyst-

kim do DANIELA OLERYCH SKIEGO, wykonawcy roli ty tułowej. Jest gorący, namiętny, gniewny, wierzymy w jego cierpienia, rozpacz i zwątpie nia. Ale kiedy wypowiada mo nolog „być albo nie być”, czujemy niedosyt, prawowanie się jego z losem i ze światem, nie ma dostatecznej siły wewnętrz nej. Mało wyraziście zarysowuje również Olbrychski swo je stany czyste emocjonalne. Przecież Hamlet mimo popelnio nej przez matkę zbrodni, kocha ją, a w każdym razie cierpi nad tym, że właśnie ta ukochana istota dokonała zbro dni mężobójstwa. Na tym uczuciu tragicznej miłości do matki zbudował kiedyś, już w wieku dojrzałym, rolę Hamle ta — Karol Adwentowicz. Kto miał szczęście oglądać go i we Lwowie w latach przed pierwszą wojną światową i później, między innymi w Ło dzi, ten nie tak łatwo pogodził się z Hamletem, którego do minująca zaleta jest młody wiek. Ani z tym, że ten Ham let, świetnie gimnastykowa ny, z piętrowego pomostu ska cze prosto na łożę swojej mat ki. ZOFIA KUCÓWNA jako królowa-matka również chyba zbyt powściągliwie ukazuje kłębowski uczyć, które w niej przecież żyją, żyć muszą! Po dobnie wygląda sprawa Polo niusza, odmłodzonego, rześkie go ojca Ofeli. Grający go MA RIUSZ DMOCHOWSKI nie przejmując się zbytnio obłędem córki, spowodowanym przemia

na Hamleta, jest niemal wy łącznie pochłonięty sprawami, związanymi ze swoim urzędem dworskim.

Silą i magnesem „odmłodzo nego” Hamleta jest to, że pu bliczność ma do czynienia z utworem, w którym się wiele dzieje, pulsującym tak zwana akcją. Pięknie. Ale Szekspir to ani Wiktor Hugo, ani Sardou. Słowa, płynące ze sceny w „Hamlecie”, to wszystko co się na niej dzieje, winno interes ować przede wszystkim jako arcybogaty materiał do myśle nia, do refleksji. Chyba jedy ny GUSTAW LUDKIEWICZ jako grabarz, nie tylko rycze ziemię, ale myśli głośno, ciekawie, chwilami przerażająco.

Łódzki Teatr Nowy wystawił w okresie, kiedy kierował nim Kazimierz Dejmek, nieznaną sztukę Jana Kasprowicza „Świat się kończy”. Okazało się, że jest to utwór warto ściowy, godny wydobycia go z lamusa (ostatnio „Świat się kończy” był wyświetlany z po wroźdzeniem na szklanym ekranie telewizyjnym warszawskiej). Teatr Dramatyczny sięgnął po bardziej znany utwór teatralny Kasprowicza, po „Marcholta”. Jest to moralitet poetycki na temat doli człowieka, rozgry wający się w polskim środo wisku wiejskim. Stuchając strof poetyckich Kasprowicza trudno w tym jego języku poe tycznym nie odnaleźć wyraże nych śladów Młodej Polski. Niektóre fragmenty można by postawić obok poetyki Wys-

piańskiego, jakkolwiek Kaspro wicz nie czuł tak sceny jak autor „Wesela”. Nie koniee na tym. Historia Marcholta, chłop ka, wyniesionego na wyżyny władzy i straconego z tych wyżyn, graniczy z teatrem absurdu, sposobem ujęcia ka że chwilami myślę o Witkie wiczu i Yoneseo. Jest nad czym podumać, pofilozofować.

Reżyser LUDWIK RENE za inscenizował „Marcholta” nie zwykłe barwnie i pomysłowo. Cały ten niewydarzony świat chłopski, ukazany został ze swoimi zabobonami, gustami, przesadami, z żywiołowością i prymitywizmem. W pierwszym akcie folklor załatuje chwila mi „Mazowszem”, ale w akcie drugim, w którym sala bilar dowa zmienia się w jakiś sejmik chłopski, obalający Mar chołta, jest majstersztykiem, wolnym od jakiegokolwiek wpływu czy filtracji. Reżyse rowi przyszedł z walną pomo cą scenograf JAN KOSIŃSKI. Od niektórych scen oczu po prostu oderwać nie można. Wykonanie na ogół na pozio nym, wysokim, bardzo wyróż nianym. Marcholt Franciszka Pieczki nie jest wprawdzie ani sprośny ani gruby, jak o tym mówi w tytule Kasprowicz, ale wobec tak wybitnych osią gnięć inscenizacji można nad tym ostatecznie przejść do porządku. Krwiście, soczyście, jednak z umiarem „ra wiel skiego Betzebuba TADEUSZ BARTOSIK. W głównej roli kobiecej zaprezentowała się



Prezentowane na tej kolumnie listy stanowią ujmujący dokument zaufania czytelników do pisarza, są wspaniałym manifestem uznania dla odwagi i rozumu, dla dalekowzroczności pisarskiej. Kim był człowiek tak poruszający swymi publikacjami umysły i serca?

2 czerwca mija piętnaście lat od śmierci Jerzego Wyszomirskiego — poety, prozaika, felietonisty i wybitnego tłumacza. Do konane przez niego przekłady wybitnych dzieł klasyki literatury rosyjskiej są nieustannie wznawiane, czytelnicy „Odgłosów” mieli więc już zapewne niejednemu raz okazję poznać sprawność warsztatu translatorskiego Wyszomirskiego. Jan Huszcza i Jan Koprowski opublikowali w roku 1966 wybór felietonów Jerzego Wyszomirskiego w tomie „Spod kreski”, została więc przypomniana także i ta dziedzina jego działalności literackiej. Felietony te, czytane po latach — wzruszają.

A jak wzruszały dawniej, powiedzą najpełniej przedstawione tu listy czytelników do Wyszomirskiego (z lat 1945—1947). Zachowując właściwości stylu oryginałów, dokonując wyboru ich fragmentów, wprowadziliśmy tylko niezbędne poprawki ortograficzne. Ukryliśmy też nazwiska ich autorów, którzy przecież nie spodziewali się, że po latach ktoś ogłosi tę korespondencję. Z listów przebiega wyrazisty i wierny rysunek Jerzego Wyszomirskiego jako pisarza i człowieka. Sądźmy też, że to najlepsza forma przypomnienia tego niezwykłego człowieka, które go twórczość uczy nas na nowo wiary w moc słowa.

K. F.

Listy do „Wysza”

DROGI „PAPUŃCIU”!

Niez znając Pana zupełnie, bardzo go polubiłam, dzięki „Dziennikowi”. Codziennie napierw szperałam w gazecie szukając Pana felietonu, recenzji itp.

Już bardzo dawno temu chciałam do Pana napisać, lecz nawał pracy nie pozwalała.

Przed wszystkim muszę się usprawiedliwić za nazwanie Go „Papuńciem”, ale ja Pana już tak dawno w myśli nazywałam, po przeczytaniu tych artykułów z cyklu „Kobieta i życie” i „Kobieta a życie” i gdy dowiedziałam się, że Pan ma córeczkę, co prawda nieco młodszą niż ja, nazwałam ją tak skojarzyła mi się z Pana osobą, że gdy przeglądając dziennik nie znajdę nigdzie podpisu: Jerzy Wyszomirski, wyrzekam sobie głośno: że też ten Papcio tak rzadko pisze.

Kochany Papciu! — Ty jesteś strasznie rozsądny i za to najbardziej Cię lubię. Bo dziś czytając nasze gazety, można naprawdę dostać białej gorączki.

Jak już zaznaczyłam, napisać do Ciebie chciałam dawno, ale ostatecznie zdecydowałam się dziś...

Ty jesteś już dziennikarzem, dorosłym dziennikarzem, a ja... ja chciałabym być dziennikarzem. Serdecznie Cię pozdrawiam, tak jak można pozdrawiać swego niezanego, kochanego „Papuńca”.

MARYLA — RADOGOSZCZ

* * *

Nie mogę oprzeć się chęci wypowiedzenia się, na skutek przeczytanej recenzji, czy też felietonu pt. „Dookoła Zakazanych Piosenek”. Nie potrafię może tak po literacku wypowiedzieć moich myśli, proszę mi to więc wybaczyć...

Ja ukrywałam się w Warszawie podczas okupacji. Ja miałam sześcioro dzieci, którzy mnie ratowali i pomagali w najcięższych chwilach mego życia. I ja słuchałam, ukryty za firanką, wynędzniałych żydowskich dzieci, śpiewających na moim podwórku. I bywały chwile, gdy pomimo „pórall” nie miałam najbardziej niezbędnych do życia artykułów.

Moja gospodyni (której zawdzięczam życie) często wyjeżdżała na prowincję, na kilka a nawet kilkanaście dni. I wtedy sąsiedzi przychodzili mi z pomocą. I w moim domu, na mojej klatce schodowej, mieszkała, wprawdzie nie folksdojczka, ale prostytutka przy mijała mundurowych Niemców. I teraz, po latach, patrząc na ekran filmowy, przeżywałam po raz wtóry to wszystko od początku. Czulem, jak coś ścisła mi gardło, jak wyteżam siłę woli, aby nie krzyknąć na głos: To ja, to ja tam chodzę po pokoju. — To ja — ten nieogolony Żyd... To moje życie. Zaciskałam pięści aż do bólu... Moje życie...

Film jest taki prawdziwy, taki bliski sercu każdego Polaka czy Żyda. Tyle w nim serdeczności, tyle szlachetnego patosu.

Z szacunkiem
JAKUB L. T.
LÓDŹ

* * *

SZANOWNY PANIE!

Znam Pana wprawdzie tylko z „Dziennika Łódzkiego”, boję się nawet w tej chwili, że taka „znajomość” nie wystarczy, aby udzielić Ci chęć pomocy. Nie mam kąta, w którym mogłabym się uczyć, pracować, odpocząć. Nie jestem sierotą, ale czasem własne dziecko kocha się mniej, nawet bardzo małe, nawet — wcale. O to nie można mieć pretensji, prawda?

I z tym wszystkim, wczoraj, w dniu moich imienin, dałam sobie smutny termin, ostateczny zbilansowałam (jeden z bohaterów ma nawet zostać gubernatorem Kadyksu!). Bohaterowie powieści jeżdżą automobilami, latają sterowcami, z niedowierzaniem mówią o maniakach, wymyślających „wielopląty szybyjące — żyroloty”, ale czytają książki Sergiusza Piaseckiego, słuchają wykładów Fichtego i Husserla.

Kluczem do odczytania tej pokrętniej i pasjonującej książki może być tytułowa „czaszka w czaszce”. Narrator — Dymitr Łazur — „oficer bez stopnia”, człowiek uwikłany w zadziwiające przypadki, gry polityczne, wykorzystywany przez koterie i kliki, masonów i generałów, jest świadkiem zaskakującego wykopalska. W Twierdzy nad Narwią żołnierze wykopują ogromną czaszkę, w której znajduje się druga czaszka. Ekspertyza na ukową wykazuje, że czaszka zewnętrzna należała do Eohippariona, zwierzęcia żyjącego w okresie mioceniście, sześćset tysięcy lat temu, wewnętrzna — do młodej kobiety, Europejki, udołnionej muzycznie (I). Wyobrażenia Dymitra Łazura o świecie, uznawane dotychczas za jedyne godny człowieka sposobem uczestniczenia w życiu, utożsamiającego prawdę z dobrem, ulegają zakłóceniu. Przejście ufać czasowi jako „paciforkowatemu następstwu faktów”, odkrywa w swych peregrinacjach bezsilność umysłu wobec „zjawisk rzeczywistości, nie poddających się żadnym miarom i uporządkowaniu czasu i przestrzeni”. Dlatego może zdarzyć się „czaszka w czaszce”, miniaturowa korona w mózgu cesarzewicza Gwidona i my musimy poddać się urokliwym nonsensom czasowym i przestrzennym hybrydy Wojciechowskiego. Emanuje z tej książki niechęć do problemów jednoznacznie określonych, nieufność do wydarzeń już „zaszafadkowanych”. I jeszcze jedno, Wojciechowski w sposób świadomy nawiązuje do piśmiennictwa okresu Młodej Polski, twórczości Witkacego, Zeromskiego, nawet Iwaszkiwicza. Celowo zagęszcza cechy ich stylu, charakterystyczne sytuacje do wręcz manifestacyjnej wyrazistości. Tropienie przeszczerzonych tu pewnych właściwości językowo-stylistycznych wspomnianych autorów daje niewatpawą satysfakcję intelektualną.

A. H.

Piotr Wojciechowski, Czaszka w czaszce”, PIW — 1970 cena 20 zł.

sowania głupiego życia, w którym tak tęsknie do... własnego łóżka.

O tą pomoc, o pomoc w uzyskaniu jakiegoś pokoiku, chciałam Pana tak bardzo prosić. Wiem, że mnie Pan nie wyśmieje, wiem, że nie da mi Pan odpowiedzi, która by mnie zabolala. Już znam Pana dobrze i jako Wysza i jako Łatkę, i jako p. Jerzego Wyszomirskiego.

Gdyby Pan mógł tak cudownie wyzyskać swoje wspaniałe pióro, dla takiej jednej, małej „bidnej” maszynistki, która marzy o kluczu do pokoju, o drzewach, w które sa ma wejście i zamknięcie... byłabym Panu tak bardzo wdzięczna, tak bardzo wdzięczna...

Najserdeczniejsze słowa śle
ZOFIA S. — LÓDŹ

OB. WYSZOMIRSKIEMU ODPISUJĘ

Taki piękny artykuł i co? Wyszło szydło z worka. Ob. widzi jedyny ratunek w ślubach cywilnych i rozwodach...

Jeżeli obowiązują ustawy i rozporządzenia normujące życie państwa i obywatelskie, a przestępstwa lub nie wykonanie tegoż porządku za sobą ciężkie lub mniejsze kary; i gdy prawy obywatel tegoż przestrzega. A dziwnie prawi Boże, przed dekalogiem, rościmy sobie prawo sądzić i wytępować się z nich, i publicznie mamy cześć uznawać jako ciężkie, i żądać usunięcia z życia. Dlaczego? Dlatego, że nie możemy dowolnie, z błędnym nawet powodem zmieniać żony, bo już nam się sprzykrzyła, już jest niemożliwa...

Rozwód jest nie do przyjęcia, a ślub cywilny jest cudzołożeniem, konkubinatem...

Jest ob. zwoleńnikiem świadomego macierzyństwa. Obejdują się bez świadomego macierzyństwa, i bez filozofii zwoleńników tegoż, gdyż to tylko woda na młyn naszych nieprzyjaciół niepodległości. Smutne, że po takim okrucieństwie i niewoli, zaczynamy pierwsze kroki od usunięcia praw Bożych z małżeństwa.

Z poważaniem
KAZIMIERZ K. — KRAKÓW

* * *

SZANOWNY PANIE!

Bardzo, ogromnie, szalenie, nie mogę znaleźć silniejszego określenia, żeby wyrazić moją radość, gdy zobaczyłam dzisiaj artykuł Pana Panie Jerzy (pozwalam sobie na taką poufalskość przez wzgląd na mój wiek, na siwe włosy). Jestem zachwycona pańskim piórem, takim prostym, takim bezpośrednim stylem, takim wielkim talentem. W każdym felietonie czuje się też pazur wielkiego, wybitnie zdolnego literata, czło-wieka o dużej wiedzy i kulturze. Jestem szczerze, bardzo szczerze uradowana, że będę miała tę wielką przyjemność (naprawdę!) czytania Pańskich felietonów. Nie mogę się oprzeć, żeby tego Panu nie powiedzieć. C'est plus fort que moi. Bardzo mi Pan ucieszy, jeżeli w rubryce „Odpowiedzi” znajdzie słówko dla siebie.

Szczerze życzliwa
„STARSZA PANI —
WARSZAWIANKA”

* * *

SZANOWNY PANIE!

O, gdyby Pan wiedział, jak czekam z niecierpliwością na Pańskie felietony! I teraz powiem Panu, co z nimi robię. Otóż przeczytawszy je po dziesięć razy (może więcej, lecz już nie liczę), potem wycinam ostrożnie z gazetki i umieszczam je w swojej szkatułce. Gdzie, zaznaczyć muszę, przechowuje swe drogie sercu pamiętki. Niech Pan, broń Boże, nie pomyśli, że jestem

jedną z tych kobiet, które w ten sposób szukają przyciągnięcia miłosnych. Ja jednak, choć mam 23 lata, to jednak jestem za poważną i taki mi głupstwami się nie zajmuję. Zresztą nie znam Pana. Znam tylko Pańską duszę i to częściowo. Nie wiem jak Pan wygląda, lecz dla mnie to nie stanowi różnicy. Jesteś Pan złotym człowiekiem, a to grunt. Nie przeczę, że chciałabym kiedyś choć na moment ujrzeć Pana, lecz nie wiem... uszy stko zależy od przeznaczenia. Czy Pan wierzy w przeznaczenie? Bar-dzo bym się cieszyła, gdyby Pan do mnie pisywał, choć po parę słów. Lecz nie mam śmiałości o to Pana prosić. Kończę swój list, bo wyobrażam (sobie) Pańskie znużenie i boję się, że w końcu Pan się rozgniewa. A teraz przepraszam Pana bardzo, że zabrałam mu tak drogi czas i śle Panu swe serdeczne, pierwsze pozdrowienia. Proszę Pana ten list zachować w ścisłej tajemnicy.

T. CZ. — LÓDŹ

OBYWATELU WYSZU — OBROŃCO UCISNIONYCH!

Wstawiasz się, kochany Wyszu, za ucisnionymi i pokrzywdzonymi, używasz ich nawet, by do Ciebie przychodzili ze swymi żalami. Ja, nie używany, przychodzę z krzywdą osobistą, która jest jednak już nie osobista, bo cierpi na nią ogół ludzi pracy.

Ze chleba mamy niedużo i nie dobrego — nie o tym będę pisał, bo nie samym chlebem człowiek żyje. O chleb ducha dopominam się dla siebie i wszystkich łaknących i spragnionych tego pokarmu. Książek nam potrzeba, ale że ich nie ma z uzasadnionych przyczyn (brak papieru) — więc wolam o to, czego nie brak, a czego inni nie chcą nam dać.

W imieniu ludu pracującego wolał wielkim głosem: chcemy teatru!!! Dotąd tylko szabrownicy i spekulanci, jako posiadacze grubej forsy są bywalcami teatrów, tylko oni po swej niecznej „pracy” odpoczywają w kinie, mają „prawo do śmiechu”, chodzą na „Wesele” Wy-spiańskiego — bo dzisiejszy teatr znalazł się w paszczy rekinów”. Teatr jest za drogi. Tygodniówki nie starczy, by robotnik lub urzędnik z rodziną mógł raz być w teatrze. Dlatego nie bywa prawie wcale. Czy jest tym kto-martwi? Czy Polska jest tylko dla bogatych?

Nasza jest Polska, Polska ludzi pracy. Świat pracy w demokratycznym państwie ma być uprzywilejowany. Ma być — i musi być!... Kto jest przeciwny tej zasadzie i jej realizacji w korzystaniu z dóbr kulturalnych i gospodarczych — jest wrogiem Polski demokratycznej. A jak nazwać tych, którzy zamknęli bramy teatrów łódzkich dla robotników i inteligencji pracującej? Jak nazwać? I jak ukarać? A błąd co rychlej naprawić! Wyszu! Rąbnij o tym „Z ukosa”. Masz mir, boję się Ciebie. Poskutkuje...

CZEŚĆ!

STANISŁAW W. — LÓDŹ

* * *

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

To, co skłoniło mnie do napisania, umieszczę na końcu. Przedtem muszę wyznać, że jest Pan dla mnie wyrocznią. Słusznie pisał Pan kiedyś na temat swego „Ja”. Myśli i przeżycia Pana są na pewno przeżyciami wszystkich. Jak inaczej byłoby, na świecie, gdyby już nie uszyszy, ale większość przy najmniej osób posiadała taką duszę i taki rozum.

Muszę Panu Redaktorowi napisać, że mam kuzynkę, która sympatię dla Pana posiada już od chwili, kiedy przeczytała jeden z pier-

wszych felietonów w dawnej jeszcze „Rzeczypospolitej”. Uważała, że treści, w której było dużo uczucia — zdobył Pan serca wspaniałych. Obiecał Pan pisać więcej. Otdąd kupuje „Dziennik” po to, żeby szukać znanego nazwiska...

Nie wyrażała głośno swoich uwag do czasu, kiedy szukając innej redakcji znalazłyśmy się przypadkiem przed pokojem i tabliczką: Jerzy Wyszomirski. Szepnęła mi cicho: „On tu na pewno się znaj-duje”. Odpowiedziałam, trochę kpiąc, że przecież tak samo jest zwykłym człowiekiem, więc co w tym dziwnego, że „się znajduje”. Naraziłam się tym okropnie. Dla niej nie jest Pan zwykłym człowiekiem.

Któregoś dnia oczom nie wierzylałam: nasza Wyrocznia pisał, że nie cierpi kleru. O ile wiem z dawnych artykułów, wierzy Pan w Boga. Skoro Pan wierzy, to i wie o grzechu. Niewiara w księdy jest herezją, a herezja to grzech. Tak mnie uczono w domu i stąd ten list do Pana Redaktora.

Gdyby zechciał Pan odnowić dzieć mi — szukać będę wiadomości dla siebie pod: Janka B. JANINA B. LÓDŹ

* * *

SZANOWNY PANIE!

Biorąc do ręki co dnia „Dziennik Łódzki” przede wszystkim myśli, czy też dziś „Wysz” kogós uczciwie „zrabal”? — Czekaliśmy cierpliwie, aż czwartkowy numer przyniósł nam znów te upragnione „strawy”.

Z pewnością nie wyobraża Pan sobie nawet, z jaką rozkoszą czy tujemy Jego artykuły, jak to nam w danej chwili lśni oczy a za ciskając piastki prawie jednocześnie i zawzięcie pada: och, dobrze, świetnie Wyszomirski.

Idąc ulicą badawczo spoglądamy na przechodniów myśląc może któryś z nich to Wyszomirski. Jak on też wygląda? Brunet czy blondyn? No i tyle temu podobnych pytań. Z upragnieniem oczekiwając będziemy dalszych ulubionych artykułów Sz. Pana w „Dzienniku Łódzkim”. Prosimy jednak pamiętać, że zbyt długie oczekiwanie to męczące i przykre uczucie, a nie zastużyliśmy na to, gdyż słowa przesłane przez nas Sz. Panu, to naprawdę „Pewność” i „Zaufanie”.

DWIE ŁÓDZIANKI

* * *

SZANOWNY PANIE!

Od czterech miesięcy, to znaczy od czasu przyjazdu do Łodzi, gdy biorę „Dziennik Łódzki” do ręki, szukam najpierw Pana artykułów. Kilka słów skreślonych przez Pana w tym piśmie, to cząstka Warszawy, a więc innego życia. Dzisiaj czy artykuł „Miłość i tęsknota” to ja. Moja miłość i tęsknota do ukochanego miasta, od którego los mnie oderwał. Chciałam powie-dzieć — zły. Nie, to byłby grzech. Nie — zły. Bo tu w Łodzi mam wszystko — i byt i swoich najbliższych. A jednak, jednak jakaś pułka — to tęsknota za Warszawą.

Zdziwił Pana zapewne ten list. Nie, to nie żadna egzaltacja, w ten sposób chcę tylko Panu podziękować, ja, warszawianka, za te słowa, myśli, które są nie tylko moimi, ale wszystkim którzy Warszawa we kochają.

Już kończę i bardzo przepraszam, że zajęłam Panu tak drogi czas. Znam Pana (intuicyjnie), znam ludzi, którzy są Pana przyjaciółmi, dlatego ośmieliłam się na pisać tych kilka słów. Choć krótko muszę się przedstawić! Po powrocie do Warszawy zostałam uwieziona do Niemiec, skąd wróciłam dopiero w końcu maja.

Złączając najserdeczniejsze pozdrowienia, pozostaje z poważaniem,
DANUTA B. — LÓDŹ



LAUREAT NAGRODY LITERACKIEJ IM. WILHELMA MACHA

Sceny infernalne w Łuku Kurskim

„WYZWOLENIE EURO-PY” jest przedsięwzięciem filmowym na skalę rzadko spotykaną, sygnowanym wprawdzie przez jednego reżysera, Jurija Ozierowa, ale wyposażonym w sztab scenarzystów, w sztab konsultantów historycznych i wojskowych, w rzeszę współpracowników, których nie sposób nazwać ekipą. W takim układzie i skali siła wyobraźni reżysera musi mieć miarę nadludzką, w przeciwnym wypadku nie zdołałby zaplanować jedną wizją i zespolić w harmonijną całość wysiłków ludzi o z natury odmiennych upodobaniach i temperamentach.

Pojęcie kolektywu zdaje się odzywać tu z prostotą i szlachetnością. Ponadto, co nie mniej ważne, pracowano nad filmem, którego treść ci wszyscy na sobie w większym czy mniejszym stopniu doświadczali. Odbudowywano wspólną pamięć — czynnik, który niewątpliwie przyczynił się tak do zwartości kolektywu w trakcie pracy, jak do harmonii efektu końcowego.

Kinematografia radziecka wielokrotnie podejmowała temat Wielkiej Wojny Narodowej. Pierwsza znamieną fala tematu wojny uderzyła jeszcze wtedy, kiedy walki się toczyły. Filmy powstawały na zapleczu, były ubogie i technicznie, pod względem roboty można im było wiele zarzucić. Ale miały to, tak bardzo charakterystyczne dla sztuki radzieckiej, ogromne napięcie emocjonalne. Opowiadały, w sposób — prawdę, że patetyczny, ale szczerzy, głównie o walkach partyzanckich i cierpieniach ludności na terenach zajętych przez Niemców.

Druga fala zaczęła bić w latach pięćdziesiątych. Zrealizowane wtedy „Ballada o żołnierzu” i „Los człowieka” zrobili karierę światową. Odzna-

czyły się subtelnym artyzmem, techną nie krzykliwą, lecz raczej wstydliwie skrywaną i przez to tym bardziej wzruszającą, miłością do ojczyzny i człowieka. Ich bohaterem był już nie partyzant, ale żołnierz. Żołnierz regularnej armii, nobilitowany przez mundur.

Sergiusz Eisenstein nie zajął się bezpośrednio tematem Wielkiej Wojny. Poruszył go pośrednio: „Aleksander Newski”, którego premiera odbyła się w roku 1938 i który wyprzedzał zapotrzebowanie społeczne, oraz „Iwan Groźny” (1944) byłby monumentalnym holdem złożonym patriotyzmowi i wytrwałości ludu rosyjskiego.

Wydaje mi się, że na przykładzie przytoczonych filmów można prześledzić ciąg dojrzenia do dzwignięcia tematu. Wielkie wydarzenia w życiu narodu różnie kształtowane są w sztuce. W pierwszym etapie uczuciowości bierze na ogół górę nad refleksją i pokrywa braki kompozycyjne, pewien jakby pospiech w pracy. Etap następny zmierza zazwyczaj ku legendzie, wykrywa w minionej rzeczywistości pierwiastki i postawy ludzkie, mogące mieć znaczenie symbolu. Ponieważ dłuższy czas oddziela ten etap od wydarzeń, które zaszły — forma artystyczna utworów zyskuje szlif, staje się doskonała. Wreszcie przychodzi etap trzeci, etap, który reprezentuje „Wyzwolenie Europy”: nazywałabym go etapem spokojnej, obiektywnej, rzeczowej relacji.

Etapy poprzedzające są niezbędne. Są jakby ogniwami wyzwalającymi nadmiar uczuć. Prowadzą również do stworzenia wzorów, tradycji, w której dzieła późniejsze mogą swobodnie wybierać. Żywość tej tradycji, wartości trwałe, zawarły w utworach etapu pierwszego i drugiego — sprawiają, że następny, choć różni i nieporównywalni, pozostają następcami. Nieporównywalni, nie są oderwani, przeciwnie, wyrastają z poprzedników bogatą gamą uwarunkowań.

„Wyzwolenie Europy” jest zrobione nową techniką (premierna tego filmu mogła odbyć się w kinie „Bałtyk”, jednym z dwu w Polsce przystosowanych do projekcji). Świat pokazany na ekranie wygląda ludzko realnie, prawie trójwymiarowo. Jednakże ten niemal prawdziwy świat jest światem, który wyraża. Obowiązują w nim ład i rygory — dowód, że nowa technika, z początku oszalałająca, stała się posłuszym narzędziem kształtowania wizji artystycznej.

Z filmów realizowanych w czasie i tuż po wojnie „Wyzwolenie Europy” wzięło, jak się zdaje, bohatera zbiorowego. Nawiasem mówiąc, umiejętność posługiwania się bohaterem zbiorowym jest cechą filmu radzieckiego opanowaną do perfekcji. Chyba w żadnej innej kinematografii nie ma tej delikatnej równowagi pomiędzy grupą a jednostką, zdolności dostrzegania w grupie odrębnych istnień ludzkich — bez rozbięcia jej spoiwości. Na żołnierzu i na armii spoczywa odpowiedzialność za bieg akcji w „Wyzwoleniu Europy”, pałeczka przechodzi z rąk do rąk niepostrzeżenie i zaskakująco zatorów jest to, że w milionowym tłumie zapamiętujemy poszczególne twarze.

Liryzm i jakaś trudna do wyrażenia słowami serdeczność pochodzi z kolei z doświadczeń filmów lat 50-tych. Nie one dominują w nastroju całości: jest ich akurat tyle, by razem z wiernie przedstawionymi faktami składały się na obiektywną prawdę o kampanii roku 1943, rozpoczętej bitwą w Łuku Kurskim.

Pozostała nam do omówienia tradycja, którą film radziecki zawdzięcza Sergiuszowi Eisensteinowi. Tradycja, czy nauka, bo chodzi o operowanie masą ludzką jako bryłą plastyczną, o oczywiście trzeba „czuć”, ale czego można się nauczyć. Wiadomo, że nie tylko pisma, ale również dzieła Eisensteina służą jako podręcznik słuchającemu WGIK’u; dzieła — przykłady, jak za pomocą kompozycji wizualnej przekazać wrażenie ogromu i potęgi, budzących raz grozę, raz podziw i szacunek.

„Wyzwolenie Europy” jest zrobione nową techniką (premierna tego filmu mogła odbyć się w kinie „Bałtyk”, jednym z dwu w Polsce przystosowanych do projekcji). Świat pokazany na ekranie wygląda ludzko realnie, prawie trójwymiarowo. Jednakże ten niemal prawdziwy świat jest światem, który wyraża. Obowiązują w nim ład i rygory — dowód, że nowa technika, z początku oszalałająca, stała się posłuszym narzędziem kształtowania wizji artystycznej.

Zatem, „sine ira et studio”, bez gniewu i uprzedzeń, podjęty został w „Wyzwoleniu Europy” temat Wielkiej Wojny Narodowej.

Mamy do czynienia z rekonstrukcją, która skrupulatnością przypomina prace, jakiej dokonuje archeolog odtworzający mozolnie, fragment po fragmencie, na podstawie znalezionego ulamka — przed-

miot sprzed lat. Fantazję archeolog odkłada na bok, dopuszcza do głosu najwyższą intuicję, a przede wszystkim kieruje się wiedzą. Podobnie jest w wypadku „Wyzwolenia Europy”. Jeśli za znaleziony ulamek uznamy, oczywiście dowolnie i umownie, dokumentalne zdjęcia z wyzwolenia Orla — reszta będzie „dosztukowana”. Będzie dobudowaniem w odmiennym materiale, przy pomocy aktorów i dekoracji, tego, co zaginęło i trwa jedynie w pamięci.

Twórcy filmu nie kryją różnorodności, na odwrót zaznaczają ją kolorystyką. Autentyk po zostaje czarno-biały, sceny, które rozgrywają się w gabinetach meżów stanu (bardzo dobra kreacja Stalina: ujawniono, że był już wówczas człowiekiem starym), mają barwy stuszowane, pastelowe. Podpowiada to, że tajniki gabinetów nie bywają dostępne szarym ludziom, lecz docierają w postaci tzw. relacji z drugiej ręki. Dopiero to, co bywa, co mogło być, lub było rzeczywiście udziałem szarego człowieka — widza, występuje w całej paletce żywych barw.

Chodzi, rzecz prosta, o walki. Można by te sceny nazwać ilustracją, gdyż nie ma w nich niczego ponad to, co zawierają rozkazy dzienne, listy poległych, pamiętniki uczestników bitwy i dowódców. A jedynak istnieją coś nieuchwytnego i nie zbadanego, coś, co przekształca te formalnie rzecz biorąc ilustracje w obrazy; w „obrazy” nawet brzmieniowo, nie tylko w naszym języku, pokrewne „wyobrażeniom”.

Bowiem wykraczają one poza same siebie. Paradoksalnie przy tym, im bardziej są „jak żywe”, im doznawane bardziej bezpośrednio, tym skojarzenia, jakie wywołują, zdają się rozleglejsze. W obronie przyczółka za rzeką odżywiają Termopile. Gaszenie czołgów w nurcie rzeki ma rodowód w piekle Dan-tego. Zaś żołnierz Cwietajew — wydaje mi się, że uosabia tę wrodzoną człowiekowi wiarę w niezwykłość losu, jaka jemu właściwie przypadła. Wiara, że na przekór wszystkim i wszystkiemu on przetrwa — sam, lub przez innych.

Sądzę, że „Wyzwolenie Europy” poza faktograficzną odzwierciedla również wewnętrzną, psychologiczną prawdę tamtych dni.

Nie znajduję dla „Wyzwolenia Europy” precedensu w dotychczasowym kinie ani radzieckim, ani jakimkolwiek innym. Przystając ze względu na metody pracy do gatunku dokumentalnego, wizją artystyczną wyrasta nad skromne, czyste informacje, cele dokumentu.



HOLOUBEK I TELEWIZJA

Stwierdzenie, że Gustaw Holoubek to znany i powszechnie uznany aktor, nie zadowala. Sława jego przerasta już w pewien mit. Nie oczekujemy od niego niczego innego, jak tylko kolejnych znakomitych ról. A czy zdarzyło się w ostatnich latach, by któryś z recenzentów ocenił krytycznie kreację tego aktora? Ja nie pamiętam, ale może ktoś bardzo pedantyczny mnie sprostuje.

Istnieje niepisana umowa, na mocy której przyjmuje się z aplauzem każdą propozycję aktorską Holoubka. Czy jest w tym coś niewłaściwego? Absolutnie nie. Każda generacja aktorska wylania wybitne indywidualności, które wyrastają jak gdyby ponad krytykę. Zostają zaaprobowane przez widzów raz na zawsze i odtąd ich praca na scenie jest jednym pasmem sukcesów.

Z już nieżyjących, ten zaczerpnięty próg z pewnością przekroczył Jaracz, Osterwa, Junosza-Stepowski, Solski, Zelwerowicz. Współcześnie dokonał tego chyba Holoubek i... Tu długo się zastanawiam, a nawet zaniecham próby weryfikowania innych czołowych aktorów, gdyż felieton ten chce poświęcić wyłącznie Holoubkowi. I bodaj żadna inna kandydatura nie byłaby w równym stopniu bezdyskusyjna jak jego.

Nim scharakteryzuję (ba! nim nieudolnie spróbuję scharakteryzować) typ aktorstwa reprezentowany przez Holoubka, chciałbym podkreślić, że na zjawisko społecznej jego akceptacji składają się już dziś zarówno walory intelektualne, aparycyjne i zawodowe jego samego, jak i ów mit, rządzący recepcją jego sztuki. Nie to zresztą samemu aktorowi nie ujmuję, gdyż u progu kariery był przecież jak każdy z jego kolegów narażony na krytykę i niepewność. Skoro przebrnął przez ten okres zwycięsko, musieli istnieć poważne powody.

Każda epoka preferuje określony typ aktorstwa. Tak, jak i do ludzi współczesnych najbardziej przemawia, który jest artystyczną transformacją czy syntezą ich pragnień, dążeń, działań. Czas, który przeżywamy, cechuje przede wszystkim refleksja. Gorkkie doświadczenia ludzkości, stałe zagrożenie przyszłości świata, głębokie, rewolucyjne przemiany w życiu społecznym, w nauce, w technice, to wszystko powoduje, że współczesny człowiek szuka w teatrze prawdy i autentyczności.

W aktorstwie Holoubka te elementy akcentowane są bezpośrednio. Jest w nim filozoficzna zaduma nad kondycją ludzką, jest kondensacja i skrót wszystkich rozpaczy i radości, których smak poznajemy w życiu. Mówi się: aktorstwo intelektualne. Na pewno. Każda wypowiedziana przez Holoubka kwestia wydaje się być przesączona przez racjonalny filtr, na którym osiada to co piękne i zdawkowe. Obując z tym aktorem, nie przeżywamy teatralnych złudeń i iluzji. Stajemy wobec spraw rzeczywistych, nie wymyślonych.

Typowe dla Holoubka jest niewtapianie się bez reszty w interpretowaną postać. Poszedłbym dalej. Nie zmienia się on i nie przekształca z rolą na rolę. Pozostaje w poważnym stopniu zawsze sobą, tym samym, niezmiennym. A może to źle? Dawniej aktorzy dolepiali sobie nosy i używali bez miary farb i szminek, by ukryć pod nimi swoją prywatną osobowość.

Tak była dawniej. Wtedy, gdy głównym celem było zabawienie widza, wprowadzenie go w stan wiary, że to co widzi na scenie, jest światem rzeczywistym. Dziś nowoczesne pojęcie teatru nie wprawia widziwi, że jego scena jest życiem. Mówi mu raczej, że takie jest życie. W tej koncepcji sztuki teatralnej mieści się jak ulał aktorstwo Holoubka. Jest on stale niby ten sam, a przecież przekazuje nam stale nowe treści. Wierzymy mu, mamy doń zaufanie.

Nie muszę dodawać, jak wielką rolę w upowszechnieniu i utrwaleniu mitu Holoubka odegrała telewizja. Nie film, a właśnie telewizja. Choć nie przestał być aktorem teatralnym, przedstawia sobą wszystkie cechy aktora telewizyjnego. Witamy go na ekranach telewizorów jak dobrego znajomego, a jednocześnie z drżeniem oczekujemy, jakie zgłotuje nam niespodzianki.

Te garść nie uporządkowanych uwag skreśliłem na marginesie widowiska Ugo Bettiego „Trąd w pałacu sprawiedliwości”.

Władysław Orłowski

O filmach DOBRZE i ŹLE



Bardzo smutna komedia — to chyba określenie najbliższe tonacji czeskiego filmu „CIERPIENIA MŁODEGO BOHACZKA” w reżyserii F. Filipa. Film ten na tyle można nazwać komedią, na ile nasze zupełnie pospolite życie jest, nawet wówczas, gdy sobie z tego nie zdajemy sprawy, komiczne lub tragiczne.

Czeski filmowcy swą wielką serią filmów z ostatnich lat udowadniają nam stale, iż osiągnęli mistrzostwo właśnie w umiejętności obserwacji życia pospolitego. Odkrywają te jego oblicza, które przestaliśmy dostrzegać. Sięgają do codzienności, znajdując w niej źródło sztuki nasyconej najbliższym humanizmem, choć często gorzkiej i niepołączającej ludzkim słabościom.

„Cierpienia młodego Bohaczka” tkwią w tym nurcie czeskiego kina i dlatego są tak trudne do jednoznacznej klasyfikacji gatunkowej. Fabułę filmu wypełniają przygody i rozterki starzejącego się prowincjonalnego młodzieńca, którego nieszczęściem jest to, iż matka pragnie go za wszelką cenę ożenić, a Bohacek nasz odczuwa szczególną niechęć wobec stanu małżeńskiego i rodu niewieściego w ogóle.

Ta zupełnie bułwarowa historia, którą łatwo można było przemienić w zbiór mniej lub bardziej komicznych scen cierpień młodego Bohaczka

uwikłanego w przerastające jego wyobraźnię perypetie, w filmie uzyskała rangę przejmującego studium mabości i wielkość człowieczego żywota.

Jest ten film znanym przykładem dem umiejętności czeskiego kina, od kryjącego wartości spraw tam, gdzie zwykle ich się nie dostrzega. Trudno w „Cierpieniach młodego Bohaczka” wyważyć zasługi poszczególnych realizatorów. Sukces scenarzysty E. Verner i reżysera F. Filipa byłby jednak zapewne połowiczny, gdyby nie znaleźli do roli Bohaczka tak znakomitego wykonawcy, jakim jest Pavel Landovsky. W jego kreacji jedna rzecz uderza przede wszystkim — jest to aktor, który, jeśli można tak powiedzieć, zachowuje wierność własnej twarzy. Odnosimy wrażenie, że jego Bohacek jest nim samym, bez jego udziału nie byłoby tej postaci, jest jej pełnym autorem. Bohacek — Landovsky przejmując prawdę złożoności ludzkiej natury z pozorów tylko łatwej do określenia. Wtedy, gdy zdaje nam się, że Bohaczka już znamy i niczym nas nie zaskoczy, Landovsky odkrywa takie zakamarki prostej Bohaczkowej duszy, których nikt nigdy nie odnajdywał. Tym bardziej gorzki, a przede wszystkim prawdziwy powrót Tondy Bohaczka do postaci, z której jest znany i która w końcu jemu samemu jest najbliższą.

Gorzkie, do końca nie uświadomione marzenie o staniu się kimś innym, nieznanym własnej wartości, ale także własnej małości, akceptacja własnej sylwetki na co dzień, to częste prawdy, jaką o bohaterze, ale i o ludziach w ogóle, pokazali autorzy „Cierpień młodego Bohaczka”.

* * *

Tym, którzy wolą śmiech czysty, pobawiony filozoficznej refleksji, poleć winniśmy francuską komedię „NIE DRAŻNIĆ CIOCI LEONTYNY”. Debiutujący tym filmem w reżyserkim fachu Michel Audiard szczyli się tym, że jest jednym Francuzem, który obejrzał 72 filmy Audiarda. Dla tytuł bowiem filmów napisał scenariusze i dialogi. Debiut wielce udany, o czym świadczy na pewno huragan śmiechu, towarzyszące projekcji.

Audiard daje swym filmem francuską próbkę powrotu i odnowy klasycznego gatunku filmowego, jakim jest „crazy comedy” — szalona komedia. W filmie „Nie drażnić cioci Leontyny” czysty nonsens, groteska i parodia walczą o lepsze. Dowolność wszelakich chwytów rządz nie tylko poczynania mi bohaterów filmu, ale także realizatorów.

Postać groźnej cioci Leontyny gra wielka dama francuskiego filmu, 77-letnia wspaniała Francoise Rosay, budząc podziw nie tylko dla swej fizycznej kondycji, ale także wspaniałego, pełnego niezniszczonego temperamentu aktorstwa. Jej ciocią Leontyną, da ma terroryzującą od kilkudziesięciu lat gangsterskie towarzystwo, jest do prawdy groźna i uroczą w swej moralnej ambiwalencji. Francoise Rosay przydano znakomitych partnerów, wśród których królują również niezniszczalny Bernard Blier, Wdziękami młodości szczerze okrasza ekran uroczą, piegowatą Marlene Jobert, grająca niemoralną Ritę, która wyciąga z domowych pleśszy królową paryskich gangsterów, czyli ciocię Leontynę. Bez niemoralnej Rity nie byłoby jednak odwetowej akcji cioci Leontyny, nie byłoby dobrej komedii Audiarda.

EWA NURCZYŃSKA

W najbliższym numerze „Ogłosów”:

KAROL BADZIAK — O losach sieroty, która ma trzy matki.

BOGDA MADEJ — O sztuce pisania anonimów.

JANUSZ DUNIN — O drogach naszych książek.

Felietony, recenzje, nowela kryminalna.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

MUZYKA I RZEŻBA

Ostatni numer radzieckiego magazynu „Sputnik” przynosi m. in. wywiad z Wiktorią Papandopulo, która pracuje jako muzyk w Moskiewskim Konserwatorium i jest z zamiłowania także rzeźbiarką.

„Przez całe życie zajmuję się muzyką — mówi Wiktorla Papandopulo — już dwadzieścia lat pracuję w konserwatorium. Nigdy nie zajmowałam się zawodowo plastyką, chociaż od dzieciństwa ciągnęło mnie do malarstwa. Najbardziej lubiłam rysować

na gładkich morskich kamieniach gdy mieszkaliśmy z rodziną nad morzem. O siem lat temu wpadł mi w ręce kawałek plasteliny. Spróbowałam z pamięci ulepić podobizny moich znajomych. Pamiętam jakże mnie ogarnęło wówczas podniecenie. Nie mogłam już przestać. Od tego czasu zachorowałam na rzeźbę.

Podczas gdy rzeźbiłam miałam poczucie, które wydało mi się niewiarygodne, że znajduje wspólne właściwości plastyki i muzyki. Wydawało mi się, że zajmuję się dawno znajo-



Wiktorla Papandopulo: Dante.

mą mi pracą. A potem miałam uczucie że całe moje życie poświęcone muzyce było tylko przygotowaniem do rzeźbienia. Oczywiście, pracując nad portretem próbuję oddać nie tylko zewnętrzne cechy moich modeli, ale głównie ich świat wewnętrzny, ich stan duchowy”.

Wiktorla Papandopulo najchętniej rzeźbi popiersia artystów, a wśród nich muzyków.

LAJOS TIHANYI — MALARZ NIEDOCENIONY

Lajos Tihanyi (1885 — 1938) był wielkim malarzem węgierskim, którego rozkwit talentu przypadł na lata jego pobytu w Paryżu. Przed śmiercią zapisał ojczystemu krajowi wszystkie płótna ze swego atelier. Postawił przy tym warunek, aby jego dzieła pokazane były przedtem na wystawie w Paryżu.

Urodził się w Budapeszcie. Był prawisł samoukiem. Na Węgrzech należał do młodej awangardy malarskiej. Z tego to okresu pochodzą liczne portrety, głównie węgierskich poetów i powieściopisarzy

oraz pejzaże najczęściej z okolic jeziora Balaton. Gdy miał lat jedenaście zachorował pierwszy raz na zapalenie opon mózgowych. Wyzdrowiał, ale pozostał już do końca życia głuchoniemy. Wstrząs jaki przyniosło mu kalectwo pograżając go w milczeniu i samotności, wywarł prawdopodobnie wpływ na jego malarstwo, na jego spojrzenie na świat z wyostrożoną wrażliwością i ostrością widzenia.

W roku 1919 po upadku rewolucyjnej władzy na Węgrzech, Lajos Tihanyi, który całym sercem był rewolucjonistą, chronił się do Wiednia, potem jest w Berlinie, a następnie przybywa do Paryża, gdzie staje się jedną z najsympatyczniejszych postaci wśród artystów z Montparnasse. Wśród grona jego przyjaciół są tacy słynni pisarze i malarze jak Henry Miller, Tzara, Kokoschka, Unamuno, Brancusi, Kandinsky, Salmon, Soupault, Delaunay'owie poeta Desnos, który w roku 1936 napisał o nim książkę i inni.

Droga malarska węgierskiego twórcy nie jest jednolita. W młodości mało wai tradycyjnie. W roku 1906 zaczyna nagle malować inaczej, ulegając równocześnie wpływom zarówno twórczości Kokoschki jak i kubizmu. W tym stylu tworzy portrety o niezwykłej intensywności wyrazu i pejzaże. Niewątpliwie na styl twórczości Lajosa Tihanyi wywierają wpływ także Gauguin, El Greco, Cezanne, fowiści i kubiści, niemniej zawsze zaznacza się indywidualność węgierskiego artysty. Od roku 1925 malarz przechodzi na twórczość abstrakcyjną. Szereg obrazów malowanych trzydziści lat temu sprawa wrażenie jakby powstały dzisiaj.

Wiele dzieł Lajosa Tihanyi rozproszyło się po świecie. Jego obrazy zawędrowały do prywatnych kolekcji w Ameryce, Szwajcarii, Szwecji, Anglii. Znaczna część obrazów, przechwyta wana pieczołowicie przez

okres wojny przez jego przyjaciół, znajduje się w Instytucie Węgierskim w Paryżu. Niewielka ilość płócien jest w Budapeszcie. Zmarł w wieku lat 53 na skutek zapalenia opon mózgowych. Obecnie w 32 lata po jego śmierci postanowiono zorganizować retrospektywną wystawę w Paryżu wypełniając ostatnią wolę zmarłego, niedocenionego wielkiego artysty.

SPŁONAŁ „STATEK — PRALNIA”

W styczniu br. pisaliśmy na tym miejscu, że „Bateau-Lavoir” został uratowany od rozbiórki. Wykupiony na licytacji przez miasto Paryż miał być o toczony opieką i należycie zakonserwowany.

Przypomnijmy, że „Bateau-Lavoir” (Statek — pralnia) dziwna, drewniana budowla wzniesiona w 1886 roku w Paryżu przy ul. Ravignan 13 została tak nazwana przez artystów gdyż przypominała wyglą-

dem statki pływające niegdyś po Sekwanie, na których gospodynie prały białe. „Bateau-Lavoir” stał się miejscem gdzie pracowali, żyli i zbierali się artyści. Tu byli pracownicy Picassa, Van Dongena, Matisse'a. Tu powstało słynne dzieło Picassa „Panny z Awinionu”. To tu mieszkali lub odwiedzali swych kolegów tej miary artyści co Braque, poeta Apollinaire ze swą przyjaciółką malarzką Marią Laurencin, Deraun, Max Jacob, Juan Gris, Ludwik Markus, Vlaminck, Andre Salmon, Utrillo, Modigliani, Jarry, celnik Rousseau, Gauguin, Jean Cocteau.

Nie więc dziwnego, że los „Bateau-Lavoir” wielu ludziom leżał na sercu i że cieszone się tym, że budynek zostanie należycie zakonserwowany i otoczony opieką.

Niestety w dniu 12 maja br. w „Bateau-Lavoir” wybuchł pożar. Mimo natychmiastowej interwencji straży pożarnej nie udało się go już uratować. Przyczyna pożaru nie jest znana.

Spektakle tygodnia

		Spektakli Widzów proc.	
TEATR WIELKI	„Tragedya albo rzecz o Janie i Herodzie”	1	1260 100
	„Zemsta nietoperza”	1	1240 100
	„Straszny dwór”	1	1260 100
NOWY	„Życie jest snem”	5	3500 100
	„Będę mówił”	3	1500 60
	„Dziś do ciebie przyjść nie mogę”	1	700 100
MAŁA SALA	„Pełkan”	4	600 75
	„Rodeo”	4	800 100
POWSZECHNY	„Boso, ale w ostrogach”	3	2000 99
	„Henryk V”	1	500 85
	„Ojcowie rodzą się w szafach”	1	660 100
JARACZA	„Irydion”	2	1092 100
	„Tajemniczy ogród”	1	514 40
7.15	„Jagor-Bulczow”	3	1542 100
	„Żołnierz królowej Madagaskaru”	5	2100 100
OPERETKA	„Pierwiosnki”	6	3468 82



Wiktorla Papandopulo: Fryderyk Chopin



Książki pani Czesławy

ŚWIAT W CZTERECH ŚCIANACH — PANORAMA HISTORYCZNA — GRUNWALD „OD TYŁU” — PO RACHUNEK ZE SZLACHTECZYŹNĄ — SZKOŁA RYCERSKA — WSPOMNIENIA O DĄBROWSKIEJ — PODZIWI DLA TRUDU.

W samym centrum osiedla Władysław Bytomskiej, w niewielkim mieszkaniu na pierwszym piętrze żyje i pracuje pisarka Czesława Niemyska-Rączaszkowa. Od lat przykuta do łózka — stworzyła sobie świat załudniony historiami bo haterami, świat urokliwy i pociągający... Sobie? Pani Rączaszkowa stworzyła ten piękny, kolorowy świat nie tylko sobie — stworzyła go dla tysięcy swoich miodych czytelników.

W tych dniach ukazało się na półkach księgarskich drugie wydanie powieści „Z rybakami po Mazowszu” — książki o bezimiennych, wędrownych aktorach, o dramatycznych przygodach mistrza Antoniego Derkacza i jego gro madki. Ta opowieść o sie demnastowiecznych rybakach, przekazujących wiadomości na jarmarkach i przykościelnych cmentarzach satyryczny, rubaszny obraz ówczesnego świata, mówi czytelnikowi o przeszłości na pewno nie

mniej niż uczone podręczniki. Szkoda tylko, że zwrot „ukazało się na półkach księgarskich drugie wydanie” jest zwrotem re-torycznym. Książki już dawno nie ma, ponieważ czytelnicy ją wykupili, a nakład nie był zbyt wielki.

Młodzi czytelnicy znają nazwisko pisarki Czesławy Niemyskiej-Rączaszkowej, choć recenzentom zdarza się przeoczyć tę twórczość, która już dziś jest zjawiskiem oryginalnym i pięknym, mającym swoje miejsce w nurcie literatury młodzieżowej. Recenzentom zdarza się przeoczyć ją — tak więc o twórczości łódzkiej pisarki nie pisano jak dotąd więcej prac naukowych niż recenzji.

Leży przede mną praca magisterska Krzysztofa Jakubowskiego z Wydziału Filologicznego - Historycznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej: „Powieść historyczna dla młodzieży Czesławy Niemyskiej-Rączaszkowej a współczesne problemy tego gatunku”. Czytam w tej pracy, że autorka przekroczyła powieścią „Ja dwiżga i Jagienka” granice omijanej dotąd tematyki historycznej, wychodząc na przeciw nowym prądom w beletryście historycznej przeznaczonej dla młodego czytelnika, że powieść ta jest szczególnym przykładem rozwiązania trudnego problemu, jakim jest przekazywanie sumy wiedzy i wyobrażeń z dziejów minionej kultury w niekonwencjonalny i oryginalny sposób.

Podobnie jest zresztą — podkreślają autorzy prac naukowych — w innych książkach Rączaszkowej, choćby w opowieści z czasów Bolesława Krzywoustego „Przyjaciele”. Nie jestem specjalistą w dziedzinie literatury młodzieżowej, wolę się więc posługiwać ocenami i opiniami fachowców, trzeba jednak stwierdzić, że jest to po prostu dobra literatura. Zarówno „Z rybakami po Mazowszu” jak i „Te same gwiazdy” przeczytałem z zainteresowaniem jak czyta się dobre powieści, napisane pięknym językiem, z warką, niebanalną akcją.

Nie jestem zapewne w tym wrażeńi osobobno, bo jeśli nawet nie liczyć filologów z Katedry Metodyki i Historii Literatury Dziecięcej, to przecież książki pani Rączaszkowej rozchodzą się błyskawicznie, mają po kilka wydań, jej słuchowiska radiowych słuchają szerokie rzesze młodych odbiorców.

W małym pokoiku przy ulicy Spornej w Łodzi rodzą się piękne opowieści o minionych czasach — pisarka przykuta chorobą do łózka tworzy kolorowy świat przeszłości. Wie, że potrzebna jest dobra, przystępna książka historyczna i takie książki daje swoim czytelnikom. Niektóre z nich znalazły się na liście szkolnych lektur.

Ale dobra, przystępna książka historyczna, to przecież książka nie tylko dla młodzieży. Pani Rączaszkowa wzięła więc na warsztat czasochłonną Edukacji Narodowej, tego — jak mówi — „najbardziej udanego dzieła polskiej przedrozbiorowej”. Niełatwa to praca, bo współczesnych naukowych publikacji na ten temat można się doliczyć ponad dwa i pół tysiąca. Z tej gigantycznej pracy szperackiej i pisarskiej powstało już ponad pół tysiąca stron książki „Miotła na upióry”. Jest to porachunek ze staroszlachetczyzną, wiele wątkowa panorama tamtych ciekawych czasów.

Pani Czesława Niemyska-Rączaszkowa z niespożytej energią zabiera się aktualnie do nowego historycznego tematu. Koniec szkoły rycerskiej, dzieł Warszawy... Napisała też interesujące wspomnienia o Marii Dąbrowskiej, z którą w latach międzywojennych i potem już po wojnie ją czyła ją serdeczna znajomość.

Z tego samego pokolenia co Dąbrowska — wyrosła Niemyska-Rączaszkowa w atmosferze hasel społeczni-

kowskich i po studiach polonistycznych u Kornela Ujejskiego pochłonięta w wir pracy społecznej — organizowała ogniska, kluby i świetlice dla młodzieży Warszawy — temu ruchowi poświęciła swoje zdolności organizatorskie, swój talent recytatorski i literacki.

W czterech ścianach pokoju, do których skurczył się świat tej pełnej energii i potrzeby działania pisarki, rodzi się inny świat — szerokie panoramy historyczne, mazowieckie równiny z XVII wieku, wawelskie komnaty królowej Jadwigi... Wiele pisze książki — niebanalne, ciekawe, o przeszłości tego kraju, o pięknych kartach naszych dziejów.

Naukowiec napisze w jednej z prac poświęconych pisarce: „Przechrój twórczości Czesławy Niemyskiej-Rączaszkowej świadczy o dużej skali możliwości pisarskiej w tej trudnej gałęzi literatury”. Czytelnik powie: — „to piękne, barwne książki, które uczą historii, szacunku dla przeszłości, książki ciekawe i potrzebne”. Cóż mogę dodać ja?

Przy łózku pisarki telefon i radio — jedyny kontakt z miastem huczącym za oknem, pulpit z piramidą książek, biblioteka... Mogę jeszcze dodać mój szacunek dla pisarskiego trudu, podziw dla energii, uporu i talentu dzięki którym w czterech ścianach pokoju mógł powstać barwny świat przeszłości.

JERZY WIDOK

Bez strachu

Ludzie mojego pisanía

Ludzie mojego pisanía — moich słów, zdań, utworów... Wcale nie Ci, o których piszę — Ci raczej, którzy piszą o mnie i do mnie — o mnie jako o człowieku piszącym — piszą, a niekiedy mówią. Kończąc kolację i wstając od stołu powiadam: „Na mnie już czas, piszę dzisiaj felieton, powieść, opowiadanie” i wtedy Ktoś, kto pozostaje przy stole mówi serdecznie: „Oby ci się udało...” Z biegiem lat przykładam do podobnych życzeń coraz większą wagę, wierzę, że dobre, prawdziwe i skuteczne pisanie nie jest możliwe bez życzliwości wielu ludzi. Zainteresowanie czynnością piszącą stwarza dwa warunki: a. uprzytomnia odpowiedzialność za pisanie, b. dodaje sił do dźwignia odpowiedzialności. Kiedyś wydałem książkę, po kilku miesiącach dostalem list: „Dziękuję bardzo, bardzo... Radość mi Pan zrobił ogromną przez tę książkę oraz to, co w niej na pisane. Ach, jak wielce to była miła niespodzianka... Niedługo wychodzę na ulicę wstrętą i brudnoszarą, do skrzyńki, do której wrzucę to, co piszę... Raz jeszcze przekazuję najlepsze pozdrowienia i najlepsze myśli”. Długo trzymałem w rękach ten list, odczuwałem strach, potworny strach przed dalszym pisanem. List był prawdziwy, prawdziwy od mojej książki. Nie mogłem pojąć, jak moja uboga książka wzburzyła kogoś do tego stopnia, że wstydem myślałem, że często, zaczynam powieść bez sprezywanego planu — liczę na erupcję, na drgnięcia nieznanych warstw psychiki, na nocne przebliski pamięci uczuła i kształtów, a przecież znalazł się ktoś, kto przez jeden dzień, nawet jedną godzinę żył moją przypadkową książką, moim ubogim słowem. Być może był to ktoś, — kogo godzina warta była więcej od mojego życia. Co znaczą moje małe lekki, niedołężne zawieści, bezkształtne dąsy, wobec prawdy słów tego listu.

Ludzie mojego pisanía kładają i zdejmują z mnie ciężary. Wymiar autora zależy od ludzi jego pisanía — nie ma małych autorów — jeżeli ludzie ich pisanía są zarliwi, poważni, mądry, każdy autor jest wytworem pewnej grupy ludzi — cząstką tylko tej grupy są czytelnicy, inni, to Ci, którzy dobrze życzą nawet nie czytając, Ci, którzy piszą listy, Ci, którzy myślą o autorze. Wszyscy Ci ludzie są autorami bezcennego leku, leku przed pierwszym słowem, leku czynnego, rozbudzającego to, co uśpione. Starożytni przekazywali nam mniemanie o bogach, zsyłających lek jako wstęp do prawdziwego poznania i mądrości — bogowie ci ufali adeptom i ogrom tej ufności przerażał, a zarazem oczyszczał z wszystkiego co ma ludzkie, nieludzkie. Ja też dostalem kiedyś boski list, którego fragmenty cytowałem, który czytałem z trwogą. Podniósł się we mnie głos krzyżący: „Nie spełnisz, nie podolasz, zawiedziesz nadzieje, rzucił dla wszystko, oddarzone cię zbyt wielką ufnością...”. Doznałem osobliwego stanu zwątpienia, które nie osłabiało, zdumiewająco czynne zwątpienie. Dał mi je ludzkie mojego pisanía.

BERNARD SZTAJNERT

Modelka

Marek Sand spojrzal na zegarek. Była godzina 17.45. Zatrzymał się w drzwiach i obserwował gorączkowe przygotowania do uroczystości. Długi stół zastawiono wyszukanymi potrawami. W rogu sali, za ladą małego baru, dwóch kelnerów wycierało kieliszki.

— Czy zechciałby pan zobaczyć tort? — zapytał szef służby.

Marek podszedł do stołu. Ogromny tort był udekorowany kremem i kandyzowanymi owocami. Napisał czekoladą brzmiał: „Najserdeczniejsze życzenia dla Rain i Gordona”. Sand podziękował szefowi.

Na salę wszedł Gordon Winters. Przywitał się serdecznie.

— Od kiedy to gość honorowy przychodzi pierwszy? — zapytał Marek.

— Chciałem ci pomóc.

Gordon Winters pracował jako prezentator mody męskiej. To stanowisko zawiązał Sandowi.

— Gdzie jest Rain? — zapytał Marek.

— U siebie w domu, zapiera się. Umówiliśmy się, że zatelefonuje gdy będzie gotowa do wyjścia. Pojadę po nią — wyjaśnił Gordon. Dotknął ramienia Sanda. — Chciałbym ci bardzo podziękować.

— Za co?

— Za wszystko, co zrobiłeś i robisz dla mnie i dla mojej narzeczonej.

W hallu zadzwonił telefon. Marek podniósł słuchawkę.

— Halo, słucham.

— Marek? To ja, Rain. Powiedz Gordonowi, żeby przyjechał po mnie o godzinie 19. Która jest teraz?

— 17.50. Rain, czy twoja koleżanka Anni przyjeżdża z Kalifornii na twój ślub?

— Naturalnie. Wraca jutro rano pierwszym samolotem. A teraz muszę się spieszyć. Zobaczymy się na uroczystości. Jeszcze raz dziękuję ci za pamięć. Jesteś przemily dla nas.

Marek wrócił do sali.

— Czy to była Rain? — zapytał Gordon.

— Tak. Prosiła, abym nie fatygował się do domu. Gdy skończy się ubierać przyjdzie tu takśówka.

Godzina 18. Zjawił się pierwszy gość. Dyrektor agencji reklamowej. Marek przedstawił go przyjacielowi.

Podczas gdy obaj rozmawiali, Marek wyszedł niespostrzeżenie. W sypialni podniósł słuchawkę telefonu. Nakręcając numer spojrzal w lustro. Zoba-

czył swoją twarz pociemniałą z gniewu, usta wykrzywione grymasem.

— Czy to Clancy? — zapytał.

— Tak, ja. O co chodzi?

— Tu mówi Marek Sand. Chciałbym, aby ta robota była wykonana jeszcze dziś wieczorem, za godzinę.

— Czy pan zwariował? Trzeba mi było powiedzieć wcześniej.

— Tak musi być. Dziś wieczorem o godzinie 19. Będzie sama w mieszkaniu. Jej współlokatorka wyjechała do Kalifornii. Czy wiesz, co masz zrobić?

— Myślę, że tak.

— Jak to? Myślisz? Musisz wiedzieć na pewno!

— Dobrze już, dobrze. Naciśnię dzwonek przy drzwiach wejściowych. Powiem jej do cyfrofona, że przyniosłem depeszę. Popędzę na górę. Gdy otworzy drzwi, obleję jej twarz kwasem.

— Twarz, pamiętaj! Chcę, aby twarz była zniszczona. Spalona tak, żeby nie można było przywrócić jej urody nawet po dziesięciu operacjach kosmetycznych.

— Czy nie lepiej zabić tę kobietę?

— Rób co ci każę i nie wtrącaj się do moich spraw.

— Okay, Sand.

— Pamiętaj, punktualnie o godzinie 19.

Marek rozłączył się. Poprawił sobie włosy, ułożył usta w uśmiech i wrócił na salę.

Przybyło już wiele osób. Zaden z gości Sanda nie odważyłby się spóźnić. Marek był wpływową osobą wśród sfer wybitnych artystów-fotografików.

Gdy zatrzymał się w prógu, twarze gości zwróciły się w jego stronę, uciszyło się na chwilę. Potem wszyscy otoczyli gospodarza, witając się z nim i mówiąc mu komplementy.

Była godzina 18.12.

Marek zbliżył się do okna i wyjrzał na ulicę. Zaczęło padać. Przypomniał sobie inny wieczór sprzed roku. Był dzień świąteczny, padał deszcz. Poznał wówczas Karen Bloch.

Właściwie wszystko się zaczęło od sprzeczki między Markiem a jedynym człowiekiem, który potrafił mu się przeciwstawić: Gordonem Wintersem. Tego dnia Marek długo z nim rozmawiał o swym marzeniu: spotkać pewnego dnia „modelkę doskonałą” — o pięknym owalu twarzy i eleganckiej sylwetce.

— A poza tym musi być cierpliwa, ślepo posłuszna i wierzyć mocno, że mój aparat fotograficzny zrobi z niej

„modelkę doskonałą” — dodał Marek.

— Jeżeli jesteś takim geniuszem za jakiego się uważasz — rzekł Gordon — to chyba możesz wziąć jakąkolwiek dziewczynę z ulicy i uformować ją według swego ideału.

Świadkiem tego wyzwania było wiele osób. Zdenerwowany Marek opuścił towarzystwo i przez kilka godzin spacerował po ulicach w poszukiwaniu odpowiedniej dziewczyny. Zobaczył ją w pobliżu dworca: wysoka, czarująca, osłaniała się przed deszczem kolorową parasolką.

Zatrzymał nieznajomą i przedstawił się: Marek Sand, fotografik. Widział ją w popularnych czasopiśmie. Zaprosił ją do swej pracowni na próbę. Ucieszyła się z tego wyróżnienia i obiecała przyjść w sobotę.

Tak wyglądało pierwsze spotkanie z Karen Bloch, dziewczyną, którą zmienił w najstojniejszą modelkę: Rain Neuville.

Godzina 18.26.

— O czym myślisz, Marku? — zapytał Gordon.

Marek odwrócił się powoli.

— Zaczęło padać...

Gordon wyjrzał na ulicę.

— Tak. Przypomina mi się pewien dzień sprzed roku...

— Obaj myślimy o tym samym — szepnął Marek.

— Powiedz mi, czy spodziewałeś się, że Karen przyjdzie do ciebie owej soboty?

— Mówiąc prawdę, nie! Lecz jej przyjaciółka, z którą mieszka, namówiła ją do tego. Anni zawsze ją popychała do zmiany zawodu i spróbowania kariery modelki.

Karen okazała się wdzięczną uczennicą, pozwoliła się modelować jak wosk. Marek nie tracił czasu. Prosił, krzychał, maltretował ją aż udało mu się zrobić z Karen „modelkę doskonałą”. Zmienił jej łuki brwi, kształt ust. Nauczył, jak należy się poruszać, wchodzić do pokoju, składać, przybierać rozmaite pozy.

Praca nie zawsze szła gładko. Były momenty, że Marek przeciągał strunę w surowym traktowaniu modelki. Kilka razy dziewczyna uciekała z ewangelicznym płaczem i krzyżąc, że rezygnuje z kariery. Pewnego razu po takiej scenie nie przyszła przez kilka dni. Marek był wówczas wściekły.

Teraz przyglądał się człowiekowi, który stał między nim a Gordonem. Był to Harry Hunter, dyrektor artystyczny agencji Leoda. Był pijany.

— Co tam bełkoczesz, Harry? — zapytał Marek.

— Harry, idź do domu — wtrącił się Gordon.

Harry położył mu rękę na ramieniu.

— Przepraszam cię, lecz muszę o coś zapytać tego łobuza, Sanda.

W sali zapanowała cisza. Wszyscy z ciekawością oczekiwali reakcji gospodarza.

— Co powiedziałeś wczoraj Leodowi? — zapytał Harry.

— Twój zwierzchnik prosił, żebym wydał opinię o tobie. Powiedziałem, że jesteś człowiekiem, któremu nie można ufać.

— Dlaczego to zrobiłeś? — krzyknął Harry.

— Nie podobasz mi się. W zeszłym roku podczas wywiadu orzekłeś, że

Winters jest lepszym fotografem ode mnie.

— Sand, jesteś maniakami, nie masz przyjaciół. Każdy z tutaj obecnych wpakowałby ci noż w gardło! — Harry wybiegł z sali.

Marek rozejrzał się po gościach.

— Cóż za grobowy nastrój. Proszę jeść i pić!

Wszyscy wrócili do swych rozmów. Ten wieczór był dla Marka koszmarem. Irytowały go śmiechy, rozmowy. Cicho wyszedł z sali i zamknął się w łazience. Odświeżył twarz zimną wodą. Myślał o Rain. Nigdy jej nie powiedział, że ją kocha, wydawało mu się to słabością. Lubił pokazywać swe arcydzieło, lecz nie zauważył, że Rain nie jest szczęśliwa, że czuje się obco w środowisku Marka. Tylko w Gordonie widziałą sprzymierzeńca, który ją rozumiał.

— I to właśnie ja — rozpoczął Marek — poznałem ją z Gordonem. Pierwsza fotografia reklamowa była przeznaczona dla fabryki perfum. Poza wymagała, żeby młody człowiek trzymał Rain w ramionach. Marek wybrał Gordona. Fotografia miała olbrzymie powodzenie.

— Dlaczego byłem taki głupi? — myślał. — A teraz Rain miała go opuścić po roku pracy, aby poślubić Gordona i rzucić zawód modelki.

Była godzina 18.55.

Jeszcze pięć minut. Niedługo trzący kwas zniszczy na zawsze tę piękną twarz. Gordon nigdy już jej nie pocałuje.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Marek, czy jesteś tam? — zapytał Gordon. — Proszę cię do telefonu, jakaś ważna sprawa.

— Zaraz przyjdę. — Szybko wytarł pot z czoła i wyszedł. Przelączył telefon do sypialni.

— Słucham. Kto mówi?

— Panie Sand, mówi Clancy.

Marek zadrżał. — Dlaczego telefonujesz? Czy coś nie idzie?

— Właśnie chciałem to wiedzieć. Za trzy minuty 19, a tej kobiety jeszcze nie ma. Na trzecim piętrze ciemno w oknach.

— Może wyszła na chwilę?

— Niech pan zaczeka, idzie jakaś kobieta, wchodzi do bramy. To pewnie ona! Zobaczymy, czy zapali się się światło na trzecim piętrze.

Marek słyszał klaksony samochodów. Mógłby jeszcze powstrzymać wszystko. Tylko jedno słowo! Nagle usłyszał podniecony głos Clancy'ego: — Widać światło! Biegnij tam!

Marek rozpaczyłwie ścisnął telefon — Clancy, słuchaj, ja...

— Za późno. Usłyszał trzask, a potem nastąpiła cisza.

Była godzina 18.58. Jeszcze dwie minuty. Lecz teraz nie można już było się cofnąć.

Ktoś dotknął jego ramienia. — Geniuszu, czy skończyłeś już telefonować? — zapytał Gordon. — Chciałbym dowiedzieć się od Karen, dlaczego nie przyjeżdża.

Marek, trzymając wciąż słuchawkę, usiłował opanować się. — Wiesz, jakie są kobiety, gdy szukają się na zabawę.

Gordon wyciągnął rękę, żeby wziąć słuchawkę. — Muszę ją trochę popędzić.

Marek cofnął się.

— Co się z tobą dzieje? — zdziwił się Gordon. — Zdaje się, że nie chcesz abym rozmawiał z Rain.

W tej właśnie chwili znany głos wykrzyknął: — Dzień dobry, chłopcy, przepraszam, że się spóźniłam! — Rain stała uśmiechnięta, w białej sukni wieczorowej. Gordon wziął ją w ramiona.

— Chciałem już wysłać kogoś po ciebie, byłem niespokojny.

— Wysłałem wcześniej z domu i pojechałem do fotografa, a stamtąd wprost tutaj.

— A więc kto jest teraz u ciebie? — Głos Marka był suchy i ostry. Nie czekając na odpowiedź chwycił słuchawkę, ręce mu drżały.

— Halo! — zawołał głos kobiety. — Kto mówi?

— Anni, to ty? Tutaj Sand.

— Cieszę się, właśnie chciałem do pana telefonować, żeby powiedzieć Karen, iż udało mi się przyjechać wcześniej.

Marek westchnął z ulgą, a więc nic się nie stało.

— Anni, słuchaj, musisz natychmiast wyjść z domu! Uciekaj zapasowymi schodami! — Nagle usłyszał dźwięk, który go przeraził.

— Przepraszam pana na chwilę — rzekła Anni. — Dzwoni listonosz, muszę otworzyć.

— Nie! — krzyknął Marek. — Nie otwieraj! — Słyszał, jak potożyła słuchawkę na stoliku, a potem szła w kierunku drzwi. Jak we mgłę widział twarze otaczających go gości. Prerażoną Rain, przyciśniętą do ramienia Gordona.

— Anni! — krzyknął jeszcze — nie otwieraj! Nie otwieraj!!!

Była godzina 19.01.

Oprac. A. S.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI ŚWIĄTECZNEJ

W wyniku losowania, nagrody za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki otrzymali:

- ▲ Budzik — ANDRZEJ CIECHAŃSKI, Łódź, Turowszowska 24;
 - ▲ Suszarkę do włosów — BARBARA GAJEK, Łódź, Uniwersytecka 42/44;
 - ▲ Wydawnictwo albumowe — ALEKSANDER BARAŃSKI, Pabianice, Południowa 1.
- Nagrody są do odebrania w sekretariacie redakcji „Odgłosów” w godzinach od 10 do 14.



Lewym okiem

GESTYKULANCI

W roku 1951, w okresie dużych braków na rynku żywnościowym, otrzymałem podczas wizyty u lekarza pediatry receptę na... wątróbkę cielęcą. Receptę, którą oczywiście realizowało się u pana rzeźnika, nie w aptece. Wystarczyło machnąć nią przed oczami pań stojących w długiej kolejce od wczesnego świtu i patrzących zazdrośnie na faceta z papierkiem w ręku. Nie czulem wtedy w swej wielkiej naiwności, jakim podejrzany musiałem być facetem. Przecież to lepszemu lipa: ani pan rzeźnik recepty nie sprawdza, ani na niej nic nie odnotowuje, ani u siebie żadnej kontrolki nie prowadzi. Mogę przyjąć dziesięć razy tego samego dnia i kupić dziesięć wątróbek. Mogę przyjąć sto razy, przynieść sto recept, i nie dostać wątróbki w ogóle. Ale był przepis: wątróbka na recepty. Jeśli komuś wychodził na profit, to rzeźnikom, którzy za brak recepty mogli inkasować bezkarnie odpowiedni narzut. Poza tym to była czysta liturgia, gest, nie mający żadnych racjonalnych odniesień.

Było, minęło. Teraz też wątróbki u rzeźnika nie kupisz, ale przynajmniej nikt przy tym o receptę nie pyta. Wątróbki są w tak zwanych lokalach, siadasz, zamawiasz, z cebulką, z chrzanem i frytkami, lekkostrawne, jak dobrze okraszony brukowiec. Zaraz, chwileczkę...

Wydawałoby się, że taki gastronomiczny interes to przedsiębiorstwo, gdzie się przychodzi, płaci i otrzymuje towar razem z obsługą. W niektórych takich interesach wiszą tabliczki, informujące, że dzieciom podaje się pół porcji za pół ceny, jako że normalne porcje są rzeczywiście duże, więc po co przepłacać i marnować dary boże. Ale oto przychodzi starsza pani i prosi o pół porcji. A czy pani jest dzieckiem? — pyta kelnerka. — Nie, skądże... — A świadectwo lekarskie pani ma? — Mam, proszę...

Nie, nie chodzi o zaświadczenie lekarskie, że pani nie jest dzieckiem; chodzi o takie, że pani nie będąc dzieckiem jada nieduże obiady. Fantastyczne, co? że ma prawo jadać male obiady, że nie musi jadać normalnych. To na to trzeba błysnąć kelnerce papierkiem, taki przepis, inaczey rozliczenie w kuchni się zgodzi!

A to nieprawda. Nic się nie może nie zgadzać, kuchnia nie prowadzi rejestru obsługiwanych gości według wieku i płci. (Ojej, czy można to napisać? Jeszcze zaczniesz się prowadzić takie rejestry i co? To by przecież był czysty surrealizm, a my lubimy pojąć...). W kawiarni nie muszę się tłumaczyć, że mam słabe serce, nie muszę tego udowadniać, zamawiając małą kawę i placąc za małą. Analoga jest zupełna, nie szukajcie wykrętów.

Strach pomyśleć, ale przecież może dojść do tego, że w sklepie obok nie sprzedadzą mi, na przykład, dziecięcych skarpetek. — Pan, taki duży? Dla córki? A skąd ja wiem, czy pan ma córkę? A świadectwo jest? A może to nie pańska? Strach bynajmniej nie jest przedczesny. Czytaliśmy niedawno w prasie, że gdzieś — bo dajże w Rzeszowie — zażądano okazania dowo-

du osobistego od Klienta, który kupował... muszę kłozetową. Liturgia. Legitymowano też — o czym również czytaliśmy — klientów, kupujących piankowe materace. Czy może istnieje gdzieś centralna kartoteka obywateli, posiadających muszle kłozetowe? Czy sprawdza się przy jej pomocy, kto ośmiela się kupić drugą muszlę, czy — co nie daj Boże — materac? Nie. Legitymuje się dla jakiegoś gestu, który żadnych racjonalnych odniesień mieć nie może, a za to denerwuje i upokarza jednych, gruntownie ośmiesza drugich. Oczywiście, tych, co żądają do wodu.

Zalatwiałem niedawno pewną sprawę w warszawskim Instytucie Wzornictwa Przemysłowego. Wszedłem, zalatwilem, wychodzę innymi drzwiami. Nie, nie wychodzę. Zatrzymuje mnie sroga dama, pijąca herbatę z mlekiem. — Przepustka jest? — Nikt mnie o przepustkę nie pytał, gdy wchodziłem. A, bo pan nie tędy wchodził. Tu pytają. — Przecież to ten sam dom, ten sam instytut, te same sprawy! — Nie mam czasu na dyskusję, proszę dowód osobisty, do kogo itd. Musiałem jeszcze raz iść na drugie piętro z przepustką, do tego samego pokoju, gdzie zalatwiałem sprawę, uzyskać stempel, zejść i oddać przepustkę, którą natychmiast podarto. Liturgia. Ge sty absolutnie atawistyczne. Podobnie jest w przeddzień otwarcia Targów Krajowych w Poznaniu. Jeden urzędnik bierze w oienku przepustki dla kilkuset kolegów. Mówi nazwiska ja kie chce. Pani wpisuje w nie dbając o czytelność. Strażnik w wejściu pilnie baczny, czy każdy wchodzący ma karteczkę w ręku. No i co z tego, że ma? Jaki ona ma sens, jaki?

Takich gestów spotykamy tysiące. Ze aż odchodzi ochota do śmiechu.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzisław Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi, Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwartalnie 19,50 zł, półrocznie — 39 zł, rocznie — 78 zł. Redakcja nie zamawianych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1117. H-10.